



SEWERYN GOSZCZYŃSKI

---

# Król Zamczyska

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska



SEWERYN GOSZCZYŃSKI

# Król zamczyska

POWIEŚĆ

## I. MACHNICKI WARIAT

Poezja jest wszędzie, w każdej chwili, jak bóstwo, nikomu nie wzbronna<sup>1</sup>, jak zbawienie, jak uczciwa sława. Nawet nasz wiek, tak osławiony, tak okrzyczany prozaicznym, nawet nasze pokolenie, odsądzone od czci i wiary przez idealistów, mają swoją poezję. Nie jest ona wprawdzie ani rajska<sup>2</sup>, ani homeryczną, ani romantyczną, ale jest tak dobrą, jak wszystkie starsze jej siostry, jest poezją swojego czasu. Nie potrzeba jej daleko szukać, nie potrzeba jej uganiać poza obrębem dzisiejszej ludzkości, nie potrzeba jej sobie wymyślać; jest ona pomiędzy nami, w sferze naszego życia, naszych ludzi, w postaciach najpowszedniejszych.

O! ileż to razy zdarzyło mi się słyszeć, widzieć, być nawet uczestnikiem takich spraw, że największy poetyczny geniusz nic by poetyczniejszego wymyślić nie potrafił, że obok nich wszystkie utwory wyobraźni były poronionym płodem, obudzały niesmak w czytelniku. Dlatego przenosiłem zawsze towarzystwo ludzi nad towarzystwo książek, przyrodę nad bibliotekę. Chwile, przeżyte pod wpływem takiej poezji, stanowią najdroższy zapas najmiłszych w moim życiu wspomnień<sup>3</sup>: mam je z każdej epoki moich dziejów, a epoką najobfitszą może w taką poetyczność jest ostatni mój pobyt w krainie podkarpackiej; do niej należy zdarzenie, które tu chcę opowiedzieć.

Badanie mojego kraju pod każdym względem jest wrodzoną mi namiętnością, a widok okolic szczególniejszy ma dla mnie urok, mocniejszy niemal, niż znajomości z ludźmi. Pod takim bodźcem, przebiegając wzdłuż i szerz Galicję, znalazłem się w obwodzie jasielskim, w okolicy Krosna, nad brzegami Wisłoka. Nie każdemu zapewne z moich braci wiadomo, że Podgórze galicyjskie ukrywa miejsca najpiękniejsze w Polsce; trochę więcej oświaty, trochę więcej dobrego bytu między mieszkańcami, korzystniejsze cokolwiek położenie względem innych krain, a miałyby niepoślednią w Europie głośność. Obwód jasielski, a mianowicie brzegi Wisłoka od jego źródła aż do Pilzna, odznaczają się już fizjognomią tej krainy. Najwydatniejszym jednak rysem okolic Krosna, najmocniej pociągającym ku sobie moje oczy i serce, były zwałiska zamku odrzykońskiego.

Wszelkie ruiny tego rodzaju są dla mnie jakby grobem rodzinnym, widmem przeszłości, hieroglificznym kluczem od<sup>4</sup> wiekowych dziejów, światem niewyczerpanym wspomnień, marzeń, smutków i pociech rzewnych. Ile razy spojrzę na coś podobnego, tylekroć zdaje mi się słyszeć głos wewnętrzny: i tu pogrzebany członek twojej przeszłości! a wnet religijne uczucia napełniają duszę, myśl podnosi się, budzi wolę, kieruje krok pielgrzymi, i jestem wśród gruzów.

Kilka dni już upłynęło od przybycia mojego w okolice Odrzykonii, a nie mogłem zwiedzić zamczyska. Odległość, czas dżdżysty i inne przeszkody oddalały ode mnie rozkosz tej pielgrzymki. A tymczasem widmo zwałiska po całych mnie dniach prześladowało. Panując wzniosłym położeniem nad okolicą, zdawało się z każdej strony zachodzić mi

Poezja

Pamięć, Historia, Przyroda  
nicożywiona, Ruiny

<sup>1</sup>wzbronny — dziś: wzbroniony; niedostępny.

<sup>2</sup>poezja rajska — przez *poezję rajska* rozumie zapewne Goszczyński opowiadania biblijne o stworzeniu pierwszych ludzi i o raj.

<sup>3</sup>wspomnień — w pierwodruku stale: wspomnienie, spominac.

<sup>4</sup>od — w pierwodruku: do.

w oczy. Nie było zmiany cienia i światła, w której bym go nie widział; nie było fantastycznej postaci, której by nie wywołało z mojej wyobraźni. Podniosł<sup>5</sup> się za nim nawalna chmura, to na jej tle czarnym, poziewającym błyskawicami, widziałem olbrzyma mojej przeszłości<sup>6</sup>, złamanego, zgruchotanego, zwałonego, miotanego śmiertelnymi bólami, ale dawna wielkość groziła z jego czoła, oddychał ogniem, wypuszczał grzmotami słowa błogosławieństw, strzałami piorunów przypominał się światu, że żyje<sup>7</sup>; czasami zamglili go siatka deszczu; wówczas tajemnicza jego postać, obwiana tą zasłoną, stała przede mną jak anioł wiary i nadziei; inną razą<sup>8</sup>, błyszczący całym przepychem dnia wschodzącego, był dla mnie uosobieniem przyszłości, zmartwychwstaniem nowej postaci, w promieniach nowego ducha; a i wtedy nawet, kiedy w przerwach słoty uśmiechał się ponurym blaskiem zachodu, i wtedy nawet obudzał tysiąc myśli nie całkiem ponurych. Jednym słowem, wszystko, co doznawałem w owej chęci i niemożności obejrzenia zwalisk, porównać tylko można z przeczuciami miłości w duszy dziewiczej, z jej marzeniami.

Tymczasem zbierałem troskliwie rozliczne wieści, tyżące się jego dziejów. Źródło ich nie było obfite. Mogłem czerpać jedynie z towarzystwa, w którym żyłem; a wiadomo nam, jak mało terażniejsza szlachta przywiązuje wagi do podobnych rzeczy. Obok ich gumien<sup>9</sup>, obok ich gorzelni, czymże są te wszystkie, choćby najpyszniejsze, zwaliska? Wiadomość jarmarków w pobliskim miasteczku, zabawa sąsiedzka, szczegóły jakiegoś wesela lub pogrzebu, tyle zatrudniają ich pamięć i myśli, że nie ma w nich miejsca dla podać jakiejś tam ruiny. Nie mogłem przeto dowiedzieć się nic więcej, jak tylko, że zamek odrzykoński<sup>10</sup> zbudowany był przez Firlejów, że w jego okolicy musiały się odbywać krwawe bitwy, bo dziś jeszcze wyorują zbroje i kule, że przed kilkudziesiąt laty był zamieszkały i przechowywał w swoich piwnicach odwieczne wino, że później ludzie przybyli w pomoc losom, niepogodom i czasowi i w zawody go niszczyli, że natomiast powstały z jego gruzów: klasztor kapucyński w Krośnie, kilka kamienic w Korczynie, kilka gorzelni, stajnia dla cesarskich ogierów, i tym podobnie: że dziś na koniec razem ze wsią tego nazwiska jest własnością hrabiego Jabłonowskiego<sup>11</sup>.

— Więc dzisiaj zupełnie zniszczony — mówiłem do gospodyni domu, która mi najwięcej powyższych szczegółów dostarczyła.

— Prawie zupełnie — odpowiedziała — od czasu, jak się zapadły dwa pokoje, które jeszcze przed laty kilka<sup>12</sup> były zamieszkane.

— Zamieszkane? Przez kogo?

— Przez Machnickiego.

— Któż to był ten Machnicki?

— On jest jeszcze. Zapomniałam poznać z nim pana. Najważniejszy to dzisiaj szczegół odrzykońskich zwalisk. Machnicki jest, mówiąc krótko, wariat. O przyczynach jego obłąkania rozmaicie powiadają. Najpodobniejsza do prawdy powieść, że będąc urzędnikiem cesarskim, oddał się zbyt pracą swojego urzędu i tym sposobem stracił jedną klepkę. Po tym przypadku naturalnie został bez domu; a że miał zawsze szczególny pociąg do zamczyska, tam więc zamieszkał dwa pozostałe pokoje, i był ich mieszkańcem, dopóki nie runęły. Nadto potrzeba panu wiedzieć, że się nazywa Królem Odrzykońskim i uważa się za samowładnego pana owych ruin, a stąd mamy nieraz pełno scen pociesznych.

Szalenic

<sup>5</sup>Podniosł się (daw.) — tu: czy to podniosła się; gdy się podniosła.

<sup>6</sup>olbrzyma mojej przeszłości — olbrzyma, wyobrażającego przeszłość mojego narodu.

<sup>7</sup>przypomniał się światu, że żyje — w pierwodruku: że jeszcze żyje.

<sup>8</sup>inną razą — dziś popr.: innym razem.

<sup>9</sup>gumno — część gospodarstwa wiejskiego przeznaczona na młócenie zboża lub na budynki gospodarcze.

<sup>10</sup>zamek odrzykoński — założony był jeszcze za Kazimierza Wielkiego, jeżeli nie wcześniej. Z powodu skalistego gruntu nazywał się Kamieńcem, a także z niemieckiego Erembergiem (Herrenberg). Najdawniejsi znani dziedzice zamku, Morkorzewscy, od nazwy zamku Kamieńca zaczęli zwać się Kamienieckimi. Potem posiadaczami jego byli Stadniccy, Bonarowie, Firlejowie, Skotniccy i inni. Miewał on niekiedy po dwu właścicieli. Jeden z Firlejów (Mikołaj) posiadał znów cały zamek, a ten po jego śmierci bezpotomnej przeszedł po kądzieli do Jabłonowskich. W r. 1657 Jerzy Rakoczy, w zмовowie z Karolem Gustawem wtargnąwszy do Polski, obległ zamek odrzykoński. Załoga długo się broniła, a gdy jej zabrakło żywności, tajemnymi przejściami podziemnymi przeszła do pobliskiego Krosna. Rakoczy zajął opuszczony zamek i zburzył go. Odbudowano go potem, ale już nigdy nie wrócił do dawnej świetności. W XVIII wieku uległ zupełnemu zaniedbaniu. Już wtedy zaczęto rozbierać jego mury na różne okoliczne budowy, o czym wspomina niżej Goszczyński.

<sup>11</sup>Hrabia Jabłonowski — rodzina Jabłonowskich, o której tu mowa, nosiła tytuł nie hrabiowski, ale książęcy, który otrzymała w XVIII w. od cesarza Karola VII.

<sup>12</sup>przed laty kilka — kilka lat temu.

Ciekawość względem podobnych ludzi jest łatwa do wytłumaczenia, nie dziw przeto, że mnie zajęła powieść o Machnickim i chciałem powziąć<sup>13</sup> jak najdokładniejsze o nim wyobrażenie.

— Pani go zna? — zapytałem.

— O mój Boże! — odpowiedziała z uśmiechem — jak zły szeląg. Bywa u nas częściej niż gdziekolwiek, bo trzeba panu wiedzieć, że to nie jest wariat z rodzaju pospolitych: ma on wiele wrodzonych zdolności i nauki, co i dziś jeszcze widać. Są chwile, że wziąłbyś go pan za człowieka z najzdrowszym rozsądkiem. Zdarzyło się to niedawno jednemu z podróżujących cudzoziemców; Machnicki mieszkał jeszcze w swojej królewskiej rezydencji. Ów cudzoziemiec, zwiedzając zamczysko, spotkał się z nim, wszedł w rozmowę, bo trzeba panu wiedzieć, że Machnicki mówi bardzo dobrze kilku językami, i znalazł<sup>14</sup> go tak dobrze, że wrócił do nas oczarowany tą znajomością.

— Któż? Machnicki?

— Ale gdzie tam. Cudzoziemiec podróżny. Zaczął nam tedy opowiadać, że nie spodziewał się znaleźć w tym wieku i w Polsce pustelnika tak rozumnego. Niemało zdziwił się, kiedyśmy odkryli, kto to był w samej rzeczy ów jego uczony pustelnik. Mimo to jednak pewna jestem, że odjechał, niezupełnie nam wierząc.

— Z tego wszystkiego, co od pani słyszę, jestem bardzo ciekawy poznać Machnickiego. Szkoda, że opuścił zwaliska, miałbym powód jeden więcej do ich zwiedzenia.

— Nic łatwiejszego, jak go poznać, nawet w zamczysku, bo choć tam więcej nie mieszka, to pracuje ciągle, wałęsa się po nim; co dzień go pan spotkasz. Ale byłby to trud niepotrzebny. Zobaczysz go pan w naszym domu. Pojutrze imieniny mojego męża; Machnicki tego dnia nigdy nie opuści: zaszczyca nas co rok swoim powinszowaniem, bo trzeba panu wiedzieć, że Machnicki jest także poeta, a wiersze jego wcale niezłe. Często obdarza nimi sąsiedztwo z powodu rozmaitych okoliczności. Najdziwniejsza rzecz w takim wariacie, że ma bardzo wiele dowcipu, ale dowcipu tak złośliwego, że nieraz można myśleć, czy nie udaje głupiego, aby mógł tym bezpieczniej kąsać. Niektórzy szczerze gniewają się za jego przycinki; my, co go lepiej znamy, serdecznie się śmiejemy, bo czyż można gniewać się na biednego wariata? A że takim jest, sam pan przyznasz, jak go tylko ujrzysz.

## II. IMIENINY

Ze szczerą niecierpliwością wyglądałem owego dnia imienin, który miał mi nastręczyć sposobność poznania Króla Zamczyska; z powiększoną, kiedy wreszcie nadszedł. Towarzystwo było liczne i przyjemne, ale ja o Machnickim tylko myślałem. Miało się już ku zachodowi słońca, a jego jeszcze nie było. Zabierano się właśnie do obiadu, kiedy oznajmiono przybycie gościa, oczekiwanego prawie przez wszystkich, ale przez wszystkich z innego, jak mój, powodu. Byliśmy naówczas w jadalnej sali. Otwierają się drzwi.

— A! Pan Machnicki! Pan Machnicki — zawołano zewsząd.

On to był w istocie. Wszedł ze śmiałą pewnością siebie, którą daje albo ciągle życie wśród świata ukształconego, albo uczucie wewnętrznej wyższości nad resztą towarzystwa. W nowo przybyłym prędzej to drugie dało się dopatrzeć: w ułożeniu jego przebijało się cokolwiek dumy, jednak połączonej z pewną uprzejmą godnością, która waruje<sup>15</sup> od ubliżenia innym. Po kilku krokach powitał stosownym ukłonem licznych dokoła gości; a w tejsze chwili podszedł ku niemu gospodarz domu, podał mu rękę, ścisnęli się wzajemnie.

— Wszak to dzień imienin szanownego pana? — pierwszy zaczął Machnicki.

— Tak jest — odpowiedział gospodarz — a dla mnie i stąd miły, że mogę powitać w moim domu tak nam drogiego, a przecie tak rzadkiego gościa.

— A dla mnie — rzekł Machnicki z zimnym, lekko szyderym uśmiechem — stąd jeszcze miłszy, że mogę mu złożyć moje życzenia. Na ten raz jedno tylko wynurzę, abyś nigdy nie wyszedł źle na swoich żądaniach i zawsze więcej żądał dla drugich, jak dla siebie. Reszta na potem, bo zdaje mi się, że obiad czeka gości, a goście obiadu jeszcze bardziej.

<sup>13</sup>powziąć — w pierwodruku: powziąć.

<sup>14</sup>znaleźć kogoś dobrze — (kalka składniowa z fr.) odnieść pozytywne wrażenie ze spotkania z kimś; polubić kogoś.

<sup>15</sup>warować — tu: zabezpieczać.

Mądrość

Grzeczność

Obecni temu, wszyscy prawie, znali Machnickiego osobiście, oswojeni byli z tonem jego mów, we wszystkim znajdowali pobudkę do uciechy; i powyższe więc słowa tylko ich rozśmieszyły, jak zwyczajne głupstwo: może to było i konieczne w tych, którzy od dawna znali go wariatem i ostrzelali się z jego przycinkami, ale na mnie ta krótka scena zrobiła przeciwne całkiem wrażenie. Żaden ruch, żaden wyraz Machnickiego nie uszedł mojej uwagi, od czasu jak wstąpił do sali, i w niczym nie dostrzegłem owego okrzykanego obłąkania. Przeciwnie, wszystko wprowadzało mnie na uroczyste zastanowienie się nad nim i podnosiło do wyższego stopnia ciekawość. Przypadek wygodził po części moim chęciom: zasiadliśmy do stołu prawie tuż naprzeciw siebie. Ale długo nie mogłem z tego korzystać. Według zwyczaju, mając wedle siebie sąsiadkę, miałem zarazem obowiązek służenia jej i bawienia. Nie wiem, jak dopełniałem tej powinności, ale to pewne, że byłem głównie zajęty Machnickim, tak, że wkrótce, przy całym roztargnieniu, mogłem sobie narysować zewnętrzny przynajmniej obraz jego fizjonomii.

Potrzeba sobie wyobrazić człowieka wzrostu więcej trochę niż miernego<sup>16</sup>, postawy prostej, budowy silnej, bark szerokich<sup>17</sup>, z doskonałą harmonią we wzajemnym do siebie stosunku wszystkich członków, jednym słowem: człowieka dobrze i pięknie zbudowanego, któremu jednak zbywa cokolwiek na stosownej tuszy; przy takiej budowie wyobraźmy sobie ruchy swobodne, naturalne, zgrabne, często żywe, a zawsze miarkowane pewną godnością, pewną powagą mimowiestną<sup>18</sup>, niewymuszoną, napiętnowaną charakterem dawno ustalonym. Miał około lat pięćdziesiąt. Pokazywały to i włosy, w połowie siwe, i cała powierzchowność twarzy. Mimo to odgadywałeś, że ta twarz była kiedyś ładna; chudość nie zepsuła jej owalu, nie zaostrzyła zbyt mocno rysów, a wydatniejszym zrobiła nos pociągły, z lekkimi wypukłościami średniej chrząstki i końcowego zaokrąglenia. Nie była to jednak fizjonomia ludzi pospolitego rozumu i charakteru. Wpatrzywszy się w nią lepiej okiem znawcy, dostrzegłeś pod zwierchnią jej powłoką rysów połamanych przez uniesienia namiętne, przez głębokie cierpienia, przez tortury ducha, jasno widziałeś w jej głębi ruiny myśli i obłąkania, ale obłąkania człowieka, który, o ile w stanie zdrowia przenośli swoim rozumem rozumy pospolite, o tyle w samym upadku ostał się jeszcze w pewnej nad nimi wyższości — uczucia. Najwyraźniejszym objawieniem tego smutnego stanu była dziwna ruchliwość oblicza. W chwili rozigrania widziałeś tam naraz prawie kilka rozmaitych, najsprzeczniejszych wzruszeń, ale w każdym z nich było coś tak szlachetnego, że nawet w podobnym pasowaniu się z sobą nie szpeciły twarzy, nie robiły na patrzącym przykrego wrażenia. To samo działo się w dużych, siwych oczach; czasem błyskały one takim szczególnym spojrzeniem, że blask ich przechodził w dziką jaskrawość; ale i wtedy uderzała cię tylko jakaś energia duchowa, jakaś żywość myśli, które lubo gwałtownie przelatowały, znać jednak było, że nie przelatowały samopas, ulegały kierunkowi pewnej woli i mimo przebłyskiwania objawiały się silne, pełne i wykończone.

Widok tej twarzy w zupełnym uspokojeniu nie mniej był ciekawy: wszystko wtedy oddychało w niej jakimś uczuciem wyższości nad przytomnymi<sup>19</sup>, zanadto pewnej siebie, żeby wpadała w zuchwalstwo, jakąś w rzeczy samej myślą panowania; na dnie błyszczał niby wyraz młodości, jakby młodości duszy, jakby wiosna wyobraźni, a na tym wszystkim leżała cicha ponurość, niby zasłona z przejrzystej krepki, której wydatniejszymi fałdami były gęste, przez pół siwe i ciemne włosy, na czoło nasunione<sup>20</sup> z pewnym zaniedbaniem, i ciemniejsze jeszcze, wielkie brwi, nad okiem zwisłe. Głos jego był silny, dźwięczny, a obok tego czysty, przyjemny i łatwo gnący się do dźwięku wszelkiego uczucia.

W czasie tego obiadu, chociaż jadł bardzo skromnie, a pił jeszcze skromniej, i to czystą wodę, mało się jednak odzywał, a zawsze zmuszony przez kogoś. Uważałem wtedy rzadką żywość i trafność w odpowiedziach, a w rozmowach, tak krótszych, jak dłuższych, wielką łatwość i szlachetność tłumaczenia się.

I tego jednak, co mówił, nie mogłem po największej części dosłyszeć, wciągany nieraz przez moją sąsiadkę do nowej rozmowy, którą przez grzeczność musiałem utrzymywać. Wkrótce ciekawość, zwrócona w inną stronę, przemogła nad grzecznością; mimo całe-

<sup>16</sup>mierny — tu: średni.

<sup>17</sup>bark szerokich — tu: dobrze zbudowany; szeroki w ramionach.

<sup>18</sup>mimowiestny (daw.) — nieświadomy.

<sup>19</sup>przytomny — tu: obecny.

<sup>20</sup>nasuniony (daw.) — nasunięty.

go przymusu odpowiadałem niestosownie albo wcale nie odpowiadałem. Dysharmonia między naszymi myślami była widoczna. Postrzegła wreszcie moja pani to roztargnienie; zrazu zaczęła żartobliwie napomykać jego przyczynę, która kobiecie wydaje się jedyną i konieczną w mężczyźnie młodym i nieżonatym, w końcu, zwróciwszy się ku drugiemu sąsiadowi, zostawiła mi zupełną swobodę zajęcia się Machnickim. Byłem jej za to bardzo wdzięczny, bo właśnie teje chwili rozpoczęła się znowu scena, która przedmiot mojej ciekawości odsłoniła mi z innej strony, ważniejszej niż jego powierzchowność.

Znajdował się w naszym towarzystwie pewien hrabia K.... Był to młody, dwudziesto-kilkolletni mężczyzna. Należał on z rzemiosła swojego do rzędu ludzi, znajomych pod rodzajowym nazwiskiem „przyjemnych trzpiotów”, jakich ma każdy kraj, każda prowincja, każda okolica, każde miasteczko, każda koteria, a których wartość gatunkowa odpowiada sferze, gdzie krążą wyłącznie<sup>21</sup>. Hrabia K. był jednym z dowcipów podrzędniejszych, cyrkularnych<sup>22</sup>. Nie przeszkadzało to jednak, że cały cyrkuł<sup>23</sup> bawił się nim w najlepsze. Kobiety dobrego miejscowego tonu szalały za jego towarzystwem; młodzież, w późniejszej swojej części, naśladowała go, w czym mogła; starsi i rozsądniejsi pobłażali, bo był hrabią i miał jaki taki mająteczek: zresztą był, jak to zowią, dobry chłopiec. Znał się na koniach i psach, strzelał celnie, jadł i pił o zakłady, śpiewał i gwizdał przy fortepianie, tańczył na zawołanie bez muzyki i pary, nie zostawił nikogo w spokoju, powolniejszym wręcz dokuczał, drażliwszych wydrzeźniał<sup>24</sup> z tyłu, koniec końców błaznował, najczęściej kosztem tych, nad którymi przystawało raczej litować się; wszakże, usprawiedliwiając go, potrzeba dodać, że przykry ten dowcip miał źródło raczej w głupocie jak w złym sercu, raczej w zepsutym smaku towarzystwa, w którym żył, jak w skłonnościach wrodzonych. Wszedł on w nałóg złośliwego bawienia się, jak wchodzimy we wszelką rozpustę, przez poklask zepsutych. Dla podobnego człowieka Machnicki, albo, że użyję całego wyrażenia samegoż hrabicy, Król Machnicki, był to prawdziwie *królewski kąsek*.

Całe towarzystwo wiedziało o przygotowanym napadzie na biednego wariata, czekało niecierpliwie, z nielicznym wyjątkiem, chwili starcia się dwóch takich zapaśników, których już dlatego umieszczono przy stole obok siebie, i doczekało się nareszcie. Hrabia zaczął. Napelnił kielich winem, podniósł się, ułożył twarz figlarnie uroczyście i zawołał:

— Zdrowie Króla Odrzykońskiego! Oby jak najdłużej panował dla naszej radości, w takiej mądrości i sławie u świata, jak dotąd.

Znaleźli się, którzy odpowiedzieli na ten toast, inni, którzy szczerze zachichotali, inni wreszcie, którzy się zmarszczyli widocznym niezadowoleniem — do ostatnich i ja należałem; znam cześć dla gruzów umysłu ludzkiego, jak dla wszelkich innych. Machnicki siedział nieruchomy, i byłby może takim pozostał, gdyby młodzik, za daleko swój żart posuwając, nie był go trącił w ramię i nie przemówił z drwiącym grymasem:

— Królu, azaż grzeczność nieznana w twoim państwie?

Dziwna zmiana chwilowa jak błyskawica mignęła przez oblicze Machnickiego i zоставiła po sobie tylko chmurną powagę; nalał spokojnie swój kielich wodą, i przemówił, nie wstając z siedzenia:

— Przyjmuję zdrowie pana Hrabiego w ten sam sposób, w jaki było wzniesione, i mam sobie za powinność odplacić toast toastem, przemowę przemową... Trzeba nam wiedzieć, moi panowie, że są dwa rodzaje wariatów: jedni, których bardzo mało, wiedzą o swoim stanie, umieją go znosić i są tymi, co właściwie zowią się wariatami; drudzy, z rozumem niedoleźniejszym od wariacji, sądzą, że mają najzdrowszy, ani na chwilę o tym nie wątpią; takich jest bardzo a bardzo wiele<sup>25</sup>, a nazwisko ich znajdzie pan Hrabia w Słowniku swojej grzeczności. Pierwszym i wino nie zaszkodzi, toteż ich zdrowie można pić winem; drugim pomaga niekiedy zimna woda, dlatego wodą piję twój toast, panie Hrabio! *Oby podobni tobie rozmnożyli się bez liku u naszych nieprzyjaciół!*

Toast Machnickiego wzbudził śmiech głośniejszy i powszechniejszy jak pierwej. Wielu cieszyło się kłopotem hrabiątka tak samo, jak wprzód ostrym żartem z Machnickiego,

<sup>21</sup>wyłącznie — tu: przeważnie, najczęściej.

<sup>22</sup>cyrkularny — związany z cyrkułem, tj. małą jednostką administracyjną; lokalny.

<sup>23</sup>cyrkuł (daw.) — okręg; mała jednostka administracyjna w zaborze rosyjskim; odpowiednik dzisiejszej dzielnicy lub gminy.

<sup>24</sup>wydrzeźniać — przedrzeźniać.

<sup>25</sup>bardzo a bardzo wiele — w pierwodr.: bardzo, o bardzo wiele.

inni zaś ze szczerzej przychylności ku sprawie zaczepionego. Wszakże ten usterk nie zraził jeszcze Hrabiego, przynajmniej umiał go pokryć głośnym śmiechem, chociaż, widać było, wymuszonym.

— Jak to, Królu — zawołał, nachylając się uprzejmie ku Machnickiemu — ty byś miał się gniewać za życzenie, dalibóg serdeczne? Otóż dla prześląganania ciebie chcę odtąd zostać najwierniejszym twoim poddanym.

— Przepraszam — odparł natychmiast Machnicki z niewzruszoną powagą — Moją polityką jest nie cierpieć w moim państwie większego ode mnie... króla ma się rozumieć. Panie Hrabio, z twoim szlachetnym usposobieniem prędko byś mnie z tronu zsadził.

Śmiech towarzystwa jeszcze się bardziej powiększył: czuł teraz Hrabia, że jego kosztem, że kosztem jego dowcipu, który się rozbił o głupstwo niby wariata, — i nie znalazł już mocy pokryć swojej przegranej choćby udanym śmiechem, ale stracił do reszty przytomność dobrej myśli, kiedy Machnicki, który przez cały ten czas wpatrywał się w grę jego oblicza z zimnem szyderstwem politowania i wzgardy, zawołał ze swojej znów strony, jakby naśladowując Hrabiego:

— Jak to? Panie Hrabio, azaliż nie ma już dowcipu w twoim dowcipie? — a na zakończenie, uderzywszy kielichem w kielich, który właśnie pomieszany Hrabia niósł machinalnie do ust, zawołał: — A więc zgoda dwóch półgłówków! Któż z nami, jeśli my przeciw sobie?

Żartowniś, dobity tym ciosem, któremu nie przestawał towarzyszyć barbarzyński śmiech wielkiej części towarzystwa, byłby może wypadł z karbów okoliczności i szczerym gniewem wybuchnął, gdyby litość kilku roztropniejszych kobiet, zwykle przytomnych w podobnym razie, nie była nadała zabawie innego kierunku.

— Panie Machnicki — zawołała jedna z nich — zaimprovizuj nam cokolwiek z łaski swojej. Już tak dawno nie mieliśmy przyjemności słyszeć jego poezji. Powiedz nam co wierszami.

Na ten głos Machnicki wrócił do zwyczajnej postawy przy stole, postawił spokojnie kielich i pojrzał<sup>26</sup> dokoła z taką twarzą, jak gdyby nie było na niej przed chwilą żadnego wzruszenia; odezwał się tylko:

— Ma to być drugi akt komedii! — ale z uśmiechem więcej łagodnym jak szyderskim.

— Prosiemy<sup>27</sup>!

Machnicki skinął ręką na ucieszenie.

— Z całego serca! — rzekł. — Wymawiam tylko sobie, aby nie miano do mnie żalu, gdyby jakim przypadkiem nie podobało się coś w moich wierszach komukolwiek. Państwo wiecie zapewne, że człowiek opętany natchnieniem Poety przestaje być sobą. Każdemu z nas, jak tu jesteśmy, zdarza się, jeśli nie ciągle, to przynajmniej co dzień, gadać, nie wiedząc, co gada, chociaż prozą; a cóż dziwnego, że człowiek mówiący wierszami i bez przygotowania nie jest czasem panem słów i myśli. Będę improwizował, jeżeli się naprzód zapewnię o takim pobbłążaniu:

Chętnie jałmużnę dajecie  
Żebrzącej o grosz niedoli,  
Nie odmówciez dobrej woli  
Wariatowi i Poecie<sup>28</sup>.  
Wszak to worka nie wysusza,  
A skorzystać może dusza:  
A czyja? Zapewne wiecie.

Ze szczerą ciekawością wpatrywałem się w Machnickiego i chwytalem każde jego słowo. W rzeczy samej zdziwienie moje było nadspodziewane nad ową łatwością wysłowienia się i szybkością myśli, co tak przelatowała z jednego tonu w drugi. Znać w tym było nie tylko wprawę, ale swobodę ducha i władzę nad myślami, którą natchnienie tylko

<sup>26</sup> *pojrzeć* (daw.) — spojrzeć.

<sup>27</sup> *prosiemy* (dial.) — tak w pierwodruku.

<sup>28</sup> *Wariatowi i Poecie* — tak jest w wydaniu z r. 1870; w pierwodruku czytamy: *Waryatowi poecie*.

dać może. Nie mogłem wstrzymać się od pomyślenia w duchu: ten człowiek nie na wariata się rodził, a przynajmniej nie na zwyczajnego! Kiedy zaś umilkł na chwilę, jak żeby<sup>29</sup> czekał od obecnych przytwierdzenia swoim słowom, zawołałem pierwszy, stosownie do ostatniego wiersza:

— Wiemy! Wiemy! I z rozkoszą słuchamy dalej! —

Kilka już razy, z powodu sceny poprzedzającej, dałem uczuć Machnickiemu swoją dla niego życzliwość, ale uważałem, że w tej chwili przyjął ją lepiej niż kiedykolwiek i mocniejszą zwrócił ku mnie uwagę. Wzrokiem szczególnie przenikliwym dłużej na mnie spoczął, jakby mię chciał zbadać na wskroś, a znalazłszy zapewne w moim odezwaniu się szczerą, uśmiechnął się lekko, z pewnym zadowoleniem — i uważałem, że w ciągu dalszej improwizacji na mnie opierał głównie swoje wejrzenia. Tymczasem wziął w rękę próżny kielich i tak kończył:

Mamy dziś święto sąsiada!  
Tak nam kalendarz powiada.  
By nie zostać niegrzeczniejszym  
Od samego kalendarza  
I długami serca dłużnym,  
A więc przy święcie dzisiejszym  
Piję zdrowie gospodarza,  
A piję kielichem próżnym.  
Jeśli próżny, mojaż wina?  
Mój kraj pustka i ruina,  
Bo mój kraj to serca wasze:  
Skądże wam napelnę czaszę?  
Czyż z mej duszy? Na to zdrowie  
Nikt mi pewno nie odpowie.

A chociażbym z niej i nalał,  
Cóż by to się stało z wami?  
Każdy by jak ja oszalał...  
Lecz nagrodzę życzeniami.  
O! życzeń tyle, co nędzy.  
Wszystko zamknę w krótkim słowie:  
Obym pić mógł jak najprędzej  
Z pełnego dzisiejsze zdrowie,  
A życzył rozumnie — w prozie —  
Na wszystkich świętych — w obozie —  
Przy zastawie bojowiska,  
Śród prochu, ognia i dymu!  
Tak wam mówi król zamczyska:  
A co mówi, to dla rymu.

Taka była improwizacja Machnickiego i z małymi zapewne odmianami, bo ją w tejsze chwili odpisywałem. Jako poezja nie ma ona zapewne nic szczególnego, zwłaszcza w czytaniu; ale trzeba ją było słyszeć w ustach Machnickiego — z żywym dźwiękiem jego głosu, ze szczerym uczuciem wezbranego serca. Nadto, przy całym tonie ucinkowym i lekkim, nie można jej zaprzeczyć pięknego głównego pomysłu i prawdy, lubo za cierpkiej, wszakże zawsze prawdy, a zwłaszcza dosyć zastosowanej do osób i okoliczności. Dlatego powszechne zrobiła ona wrażenie; a to, którego ja doznałem, nie było najmniejsze. Kiedy więc inni podnieśli oklask i okrzyk brawa, ja, korzystając ze zgietku, przechyliłem się przez stół ku Machnickiemu i szepnąłem półgłosem:

— Winszuję panu nie rymu, ale sensu.

— Pan go dostrzegłeś? — zapytał Machnicki.

<sup>29</sup>jak żeby — jak gdyby.



— Bez trudu.

— Ale tego, oprócz pana, nikt tu więcej nie powie.

— Bo nie chce.

— Masz pan słuszność. Udają, że się bawią wariatem: niby lepsi od niego. Smutna to rzecz jednak! — i westchnął głęboko. — Patrz, jaka uciecha z własnej hańby. —

Rozmowę naszą przerwała kolej toastów, kończących obiad. Następnie muzyka wezwwała do tańców. Powstano od stołu. Wszystkie moje chęci zmierzały do tego, żeby wejść w ściślejszą znajomość z Machnickim: szukałem go na wszystkie strony, niebawnie<sup>30</sup> postrzegłem. O jednym widać myśleliśmy oba, gdyż pierwszy przystąpił do mnie. Byliśmy tylko we dwóch na ustroniu.

— Pan nie lubisz tańców? — zapytał mnie.

— Przeciwnie.

— A jednak nie tańczysz.

— Od jakiegoś czasu.

Ja się uśmiechnąłem, on zamyślił się na chwilę.

— Dobrze pan robisz. Od jakiegoś czasu<sup>31</sup> — a mówił to z wydatnym przyciskiem — nikt by tańczyć nie powinien; ale poradźże tu z tymi ludźmi!

Zatrzymał się znowu, zachmurzył się, po chwili przybrał twarz obojętną i obojętnie mnie zapytał:

— Pan zapewne z dalekich okolic?

— Tak, niedawno poznałem tutejsze.

— Niewiele zyskałeś.

— Przeciwnie — odpowiedziałem ze szczerą uprzejmością — miałem przyjemność poznać pana Machnickiego.

Pojrzał z niedowierzaniem.

— Ale ten Machnicki wariat!

— Nie dla mnie, jak dotąd — odparłem z uśmiechem, a na dowód pokazałem mu odpis jego improwizacji — w tym przynajmniej widzę więcej jak rozum pospolity.

— A u nich jednak to wariacja.

Po chwili nowego milczenia nagle zapytał:

— Widziałeś pan zamek odrzykoński?

— Z daleka.

— Więc musisz tu być bardzo niedawno?

— Od tygodnia.

Na tę odpowiedź postrzegłem niezadowolenie w twarzy Machnickiego.

— Jak to? Od tygodnia tu być i nie poznać zamku! To jednak tak blisko! A choćby i najdalej? Drugiego takiego miejsca nie ma na ziemi. Powinniśmy do niego pielgrzymować, jak muzułmanie do grobu Proroka.

Mówiąc to, podnosił głos coraz wyżej, ruchy ciała ożywiały się, na twarz występował dziwny, wewnętrzny płomień; po raz pierwszy postrzegłem w nim obłąkanie.

Wymawiałem się jednak szczerze przeszkodami niezależnymi ode mnie, jak było w istocie. Machnicki słuchał niecierpliwie, gotował się widać do nowego uniesienia, kiedy wpadła pomiędzy nas trzecia osoba. Machnicki zwrócił się nagle i odszedł. Widziałem go jeszcze raz, z daleka; zdawało się, że chciał znowu mię spotkać i mówić, i widać było, że się wahał; wkrótce straciłem go całkiem z oczu: jakoż powiedziano mi, że opuścił towarzystwo niepostrzeżenie. Było to nad moje spodziewanie; mocno żałowałem, że puściłem mimo tak dogodną zręczność lepszego zbadania tej szczególnej istoty. Nie pozostało mi teraz, jak szukać go w zamczysku: i na to przeznaczyłem nieodmiennie dzień następujący.

### III. ZAMCZYSKO ODRZYKOŃSKIE

Nazajutrz, ledwie dzień zaświtał, byłem już w podróży do zamczyska, bo chciałem razem z nim wschód słońca powitać. Poranek był prześliczny, jak tylko może być poranek majowy i pogodny po tylu dniach nieba zachmurzonego. Droga pięła się pod górę, pomiędzy

Taniec, Patriota

Przyroda nieożywiona, Las

<sup>30</sup>niebawnie — niebawem.

<sup>31</sup>od jakiegoś czasu — trzeba się domyślać: od upadku powstania listopadowego. Podana tu rozmowa odbywa się w parę lat potem.

sadami lub lasami. Oko w każdym kierunku odpoczywało na śniegach drzew rozkwitających; wszystkie wiatry powiewały woniami fiołków. Zielona szata okolicy srebrzyła się perlami rosy. Niewysłowiona, czarująca świeżość, jak swoboda lat młodzieńczych, przenikała i zachwycała duszę, grała we wszystkie zmysły. Droga tymczasem coraz przykrzejsza, las ciemniejszy, skały gęściej szarzeją, dzikość pustyni coraz wyraźniej czuć się daje, urok miejsca coraz silniej podbija duszę; nagle puszcza się rozstąpiła i zamek w całej pogrobowej okazałości stanął przede mną.

Nie będę się rozwodził, z jakim uniesieniem powitałem ten widok, nie będę opisywał wrażeń, które zrobił na mnie pierwszy przegląd tego ogromu gruzów; tam, gdzie każda ściana, każdy zakąt, każdy kamień, każdy krok wyprowadzały czarodziejską różdżką z mojej duszy nowy coraz potok uczuć i marzeń, otwierały mi nowe światy, szczegółowy opis byłby może zanadto nużący, a co pewniejsza, niepodobny do wykonania. Dodam nadto, że celem niniejszej powieści nie jest obraz moich wrażeń, lecz proste opowiadanie, a główną jej osobą nie ja, lecz król zamczyska. O tyle więc jedynie opowiadam, com widział lub czuł, o ile to potrzebne do utworzenia tła, na którym by przedmiot obrazu wydał się jak najwłaściwiej, jak najdobitniej. Z tego tylko powodu uznaję za konieczne rzucić kilka zarysów ogólnych zamczyska i jego okolic.

Zamek odrzykoński leży na północ Krosna. Posadą jego jest góra, należąca do łańcucha jednej z Karpackich odnóg, okryta świerkowymi lasami, jak cały szereg jej rodziny. Zamek zajmuje najwyższą jej wyniosłość, która ją widocznie od innych odosobnia. Ów szczyt najeżony jest ogromnymi bryłami głazów, pomiędzy którymi rosną pomieszane: brzozy, sosny, buki, a z drobniejszych krzewów: głóg, jałowiec, dzikie róże, jeżyna i tym podobne. Sam zamek po największej części wygląda jak mogiła<sup>32</sup> gruzów, jednakże znaczna część murów, zwłaszcza zewnętrznych, stoi dotąd nieporuszona. Najwyższa część zamku zajmuje południowy bok szczytu, najniższa zachodni. Ściana północna cała prawie ciągnie się w linii prostej, równoległe niemal do południowej, kąty innych części są w rozmaitej liczbie, rozmaitej wielkości. Taki jest ogólny rysunek zwalisk; inne szczegóły będą mieć miejsce w dalszym opowiadaniu.

Znużony pieszą wędrowką i szybkim a trudzącym przeglądem gruzów, wzruszony do głębi duszy ich widokiem, uczulem na koniec potrzebę wytchnienia. Obrałem na to miejsce, skąd bym mógł ogarnąć jak największą przestrzeń najładniejszej okolicy: i w samej rzeczy miałem niezmierny, porywający widok, szczególnie od południa i zachodu. Z jednej strony padół, zaledwie obejrzany, zasiany miasteczkami i wsiami, pocieniony lasami, przepasany łożem Wisłoka; z drugiej zaś pasmo Karpat rozłożyło się przed moim okiem bez żadnej zasłony. Nie miałem jednak dosyć czasu nasycić się pięknnością tego obrazu: wkrótce rumiana zorza wschodu odbiła się na dalekich szczytach, zwiastując słońce; ku wschodniej więc stronie zwróciłem oczy.

Słońce

Po chwili i słońce zjawiać się poczęło w grubej chmurze, jakby go noc ze swoich objęć wypuścić jeszcze nie chciała; chmury wprawdzie opadły i rozpierzchły się, a słońce zabłysło od razu w całym blasku, ale był to blask za wczesny, południowy, przykry, który w ciągu dnia deszcz zapowiada, blask oka, któremu na płacz się zanosi, którego powierzchnia jaśnieje szczęściem, kiedy na dnie jego podnosi się z głębin duszy chmura smutku, przeczucie boleści.

Taka chwila ma właściwy sobie urok i przedstawia jasne podobieństwo stanu przyrody, zwanej martwą, ze stanem duszy ludzkiej. Przedmioty oddalone zazwyczaj zbliżają się do siebie: rzekłbyś, że chcą napatrzeć się sobie, zaczem je mrok chmury rozłączy; kwiaty mocniej wonieją, jak żeby<sup>33</sup> spieszyły się z daniną kadzidla krótkim chwilom pogody; mimo godziny porannej zaduch południa; mimo przepychu światła jakaś w nim melancholia, jakiś brak, coś na kształt owej niepojętej tęsknoty, która ani swojego źródła, ani swojej pociechy znaleźć nie umie.

Takie było oblicze owego poranku; nieznacznie, mimowiestnie, wpływ jego i mnie ogarnął, tym łatwiej, że mnie usposabiało do rozrzewnienia się samo miejsce, gdzie się znajdowałem. Posępne dumanie przegrywkiem<sup>34</sup> odzywało się zrazu po stronach duszy,

<sup>32</sup>mogiła — tu: kopiec, pagórek.

<sup>33</sup>jak żeby — jak gdyby.

<sup>34</sup>przegrywek (daw.) — refren; przygrywka.

z wolna ułożyło się w piosenkę mniej więcej wyraźną, aż nastroiwszy do swego tonu uczucia i myśli, wylało się na papier w następującym wierszu:

Wędrowcze ruin, ruin kochanku,  
Jaki cię smutek naciska?  
Anioł przeszłości, anioł poranku  
Spotkały się u zwałiska.

Pamięć, Historia, Nadzieja

Widzę w objęciu nadziejską<sup>35</sup> parę,  
Widzę ich dwa widma chmurne,  
Jak razem płaczą, jak leż ofiarę  
Kładną razem w gruzów urnę.

Stary czas odżył smutną pociechą  
I zajęczał im w podzięcie;  
Słyszę jęk jego, jak dzikie echo  
Po bolesnej gór piosence.

Wciąż koniec śpiewu. Kiedyż pieśń nowa  
Rozpocznie się przez kwilenie  
Nowych narodzin? Paro duchowa,  
Daj mi przyszłości widzenie!

Skończyłem właśnie odczytanie powyższej dumki, kiedy usłyszałem za sobą głębokie westchnienie; obejrzałem się i postrzegłem Machnickiego. Stał tuż przy mnie; z oblicza widać było zachwycenie w myśli, na oczach łzy stały; wszakże strój osobliwy szczególnie mię uderzył. Suknie, schodzone cokolwiek, były jednak porządne i ułożone z pewną starannością, nie wydawały pomieszanego umysłu; za to szersze były dodatki do ubioru. Na głowie miał kapelusz, otoczony wieńcem z gałązek róż dzikich, okrytych na pół rozwiniętym kwiatem, gałązka świerku sterczała zamiast kity, piersi całe okryte były to rozmaitymi kwiatkami polnymi, to liśćmi, w ręku trzymał kość z ręki ludzkiej, jak mi się wydało na pierwsze wejrzenie. Ten strój, tak odmienny od wczorajszego, przez co nie mogłem go od razu poznać, obok tego rozmarzenie poetyckie, nie całkiem jeszcze rozproszone, sprawiły, że jakiś czas byłem jakby pomieszany: i nie wiedziałbym, od czego zacząć rozmowę, gdybym się nie upewnił w tejże chwili, że mój kłopot był daremny, bo Machnicki zaczął pierwszy. Stał on jeszcze w postawie, w jakiej go postrzegłem, z tymże wyrazem zachwycenia w obliczu; z wolna podniósł nad głowę kość, którą trzymał, i uroczystym przeciągał głosem: „Anioł przeszłości, anioł poranku spotkały się u zwałiska!”

Zamilkł, zniżył kość z tą samą powagą, z jaką ją podnosił, pilnie wpatrzył się we mnie, i rzekł, nie zmieniając wyrazu twarzy:

— Ja, król odrzykoński, nieograniczony pan tych gruzów, stróż ich przeszłości, naprzód jako król wynurzam ci wdzięczność, żeś godny hołd złożył mojemu królestwu: biorę cię przeto pod moją opiekę, jak długo zechcesz przebywać w mojej dziedzinie, w dowód czego dotykam cię tym moim berłem; a teraz... — zmienił nagle twarz i z uprzejmym uśmiechem uściskał serdecznie moją rękę — a teraz witam jako brat brata, a przede wszystkim najmocniej przepraszam, jeżeli moim nadejściem przerwałem chwilę jego natchnienia. Podobne chwile są nieopłacone i ja znam ich wartość; i ja także jestem poetą. Szczerze więc przepraszam.

— Ja to pierwszy powinienem żądać przebaczenia, że bez wiedzy króla śmiałem wejść w jego państwo — odpowiedziałem, stosując się do królewskiej Machnickiego roli.

— Z tej strony bądź spokojny — rzekł Machnicki z coraz większą uprzejmością — już po wczorajszym poznaniu, chociaż dalekim, serce moje przychyliło się ku niemu<sup>36</sup>; życzyłem sobie jego odwiedzin; zrazu chciałem mu to oświadczyć, rozważywszy, zaniechałem. Co bym mówił z pełności serca, to by wzięto za wybryk wariata. Mniejsza o mnie,

Grzeczność, Obyczaje, Król

<sup>35</sup>nadziejską — w pierwodruku: *nieziemska*.

<sup>36</sup>ku niemu; (...) jego odwiedzin — forma grzecznościowa; dziś: ku panu, pana odwiedzin itp.

ale część mojej śmieszności i na niego by spadła. Pan znasz świat — znasz wczorajsze towarzystwo — wiesz, jak mnie uważają, wiesz to dobrze — niech to pana nie miesza. Ja nie gniewam się na tych ludzi, bo znam ich dobrze. Nie czuję się nigdy mędrszym, lepszym, jak kiedy jestem pomiędzy nimi. Jednego kamyka tych gruzów nie oddałbym za najczulsze z ich serc — ten kwiatek przekwitły więcej ma duszy, jak oni. Żadnego z nich nie chciałbym mieć moim poddanym. Wolę tym gruzom królować. Z tym wszystkim nie są oni najgorsi. O! daleko gorsi są od nich. Oni nawet dobrzy ludzie podług ich czasu, podług ich rozumu, ale wariaci. Mogłem być ich królem i nie chciałem. Dlaczego? Jak? Kiedy się lepiej poznamy, sam przyznasz mi słusność. Ale zostawmy to na później. Obyczajem świata zaczniemy rozmowę od pogody. Wybrałeś pan do wędrowki prześliczną chwilę, tylko niepewną.

— Bardzo tego żałuję — odpowiedziałem — widoki cudne, potrzeba wiele swobodnego czasu, żeby się nimi nasycić.

— Masz pan słusność. Okolica prześliczna, ale to tylko ciało; cóż gdybyś pan dużą zobaczył! Jaka olbrzymia, jaka wzniosła! Geniusz ożywiłby nią dwadzieścia milionów. Tylko że to jest tajemnica, wielka, zakłeta tajemnica. Krocie ludzi rodzą się i umierają pod boki tych gruzów, a żaden ani się domyśli ich prawdziwej wartości. Gruzy i gruzy! powiadają oni; stare, okazałe, to prawda, ale nic więcej, tylko gruzy jakiegoś zamku. A ja panu powiadam, że te gruzy większe są od tebańskich, babilońskich, rzymskich, większe od gruzów niejednego narodu. Gdyby mi wolno było podnieść ich zasłonę, świat z boleści wzięłyby się za włosy; zobaczyłyby pod nimi przestrzeń pustyni większej jak Sahara, w każdym kamieniu trupa, w każdej warstwie muru pokolenia wymordowane, zobaczyłyby rzeki z łez i krwi; ich wysokość myślą jedynie musiałby zgadywać, wieża Sennaru<sup>37</sup> pigmejczyk przed nimi. Jest to coś jak majestat narodu.

— Wierzę panu.

— Nie dziwiłbym się, gdybyś nie wierzył; za krótko jesteśmy z sobą. Ale później, może... — tu zatrzymał się i nagle przeszedł z widocznym umysłem<sup>38</sup> do innego przedmiotu.

— Podśluchałem wiersz pana. Nie przeproszam go za to. Wszak jestem tu królem, mam prawo i powinność wszystko widzieć i słyszeć, co się w moim państwie dzieje. Nie powinieneś urażać się o to; nie straciłeś pan na mojej ciekawości. Z tej jednej chwili poznałem go<sup>39</sup> lepiej, niż gdybyśmy sto imienin razem obchodzili. Widzę u pana usposobienie bardzo dla niego pochlebne, a które daje mu prawo... — Nagle zatrzymał się i patrzył mi w oczy długo, okiem ani na chwilę nie zmrużonym, byстрыm, przenikającym duszę w różnych kierunkach; zawołał potem: — Tak, możesz pan śmiało pytać o wszystko, co się tyczy mojego królestwa; objaśnię go, o ile mi wolno.

Podziękowałem w krótkich słowach i zacząłem od sprawdzenia już mi wiadomych szczegółów: — Ten zamek — rzekłem — Firlej podobno założył za panowania któregoś z Zygmunów.

— Firlej! Zygmunty! — powtarzał Machnicki z uśmiechem przekąsu. — Bajki! Ale nie tu miejsce mówić o tych rzeczach. Tu każde echo złapałoby moje słowo, a tysiąc wiatrów nieprzyjaznych rozniosłoby je natychmiast — o! mam ja potężnych nieprzyjaciół i tutaj, jawnych i utajonych — muszę być ostrożnym. Gdybym panu powiedział ostatnie słowo tych gruzów, spędzono by wszystkie pułki piekielne, aby ich ślady nawet zdeptać. Ale od czegoż mądrość stanu? Muszę dyplomatyzować.

W tym miejscu muszę się przyznać czytelnikowi, że dotąd jeszcze uważałem Machnickiego za zwyczajnego obłąkańca i stosownie też przyjmowałem monetę jego mowy. Jego więc odpowiedzi, zboczenia, uniesienia się, nie przerywały głównego ciągu mojej myśli, nie psuły szyku zapytań, które podobny przedmiot nastęczał, na które przede wszystkim chciałem mieć odpowiedź; dlatego mówiłem dalej:

— Powiadają, że jeszcze niedawno znaczna część zamku była mieszkalną? Machnicki milczał.

<sup>37</sup>Wieża Sennaru — wieża Babel, która podług Biblii (*Genesis* 10,11) zbudowana była w ziemi Sennaar nad Eufratem.

<sup>38</sup>z widocznym umysłem — tu: rozmyślnie, wyraźnie celowo.

<sup>39</sup>poznałem go — forma grzecznościowa: poznałem pana.

— Największą część rozebrano podobno na inne budowy w okolicy? Postawiono kościoły, kamienice, stajnie! Co za świętokradztwo! Mówiono mi, jeszcze przed laty kilka<sup>40</sup> były tu komnaty zupełnie całe? W tych okolicach miały być wielkie bitwy?

Machnicki wciąż milczał, tylko się coraz widoczniej zachmurzał, czasem wyrzekł: tak — lub: nie — porwał się potem z miejsca i zawołał:

— Po moim królestwie nie można podróżować zwyczajnym sposobem wędrowców. Są pewne formy, których nie wolno przełamać. Chodź pan ze mną — niebo coraz bardziej się zachmurza, będziemy mieli burzę, korzystajmy z pogody.

Przyszliśmy tedy pod jedną wieżę okrągłą, poszczerbioną, ale jeszcze znacznej wysokości.

— Masz pan mocną głowę? Umiesz drapać się po murach? Wejdzimy na tę wieżę.

Zmierzyłem, opatrzyłem ją i widziałem, że po jej szczybach, jak po schodach, można się na sam wierzch muru wydostać, przystałem więc na żądanie Machnickiego. On przodkował z nadzwyczajną zręcznością; po chwili staliśmy na szczycie, nad wysokość reszty zamczyska wyżej niż wierzchołki drzew okolicznych, z widokiem swobodnym na wszystkie prawie strony.

— Co za widok! — zawołałem. — Sądzę, że promień przynajmniej kilka mil długości.

— Kilka mil! — powtórzył Machnicki, patrząc mi w oczy. — I to poeta tak się wyraża? Poeta tyle tylko widzi? *A ja, kiedy tu wejść, kiedy położę oko na tych górach i trączę je myślą, wnet lecę chmurą grzbietami całego łańcucha Karpat, ocieram się o Morze Czarne, przepływam Dniepr, biegnę drugim jego brzegiem, ponad Dźwiną przechodzę do Bałtyckiego morza, płynę jakiś czas morzem, zawijam w ujście Odry, i ponad Odrą wpadam znowu na Karpaty*; a zawsze pilnując się krawędzi tego horyzontu. — Rozumiesz mnie pan?

— Nie wiem, czy tyle, ile byś pan chciał być zrozumianym.

W tej chwili na twarzy Machnickiego objawiała się jakaś dziwna wewnętrzna walka, jak *żeby*<sup>41</sup> słowa ogromnego znaczenia darły się do ust, a myśl tajemnicy gwałtem je zatrzymywała.

— Nie, nie! — zawołał w końcu. — Lepiej być niepojętym, jak narażonym na zdradę.

Wnet postrzegł się, że wybuchnął z czymś niewłaściwym, zwrócił się ku mnie, wziął z dobrocią za rękę i pytał:

— Co ja powiedziałem? Może niedorzeczność. Przebacz pan! — Wszak wiesz, że m wariat — i ja to wiem. Ja sam często postrzegam, że mi się wymknie słowo, ni przyszył, ni przyłatał, jak powiadają. To wariacja, wariacja! Ale to nie wariacja, że potrzeba tak widzieć, jak ja widzę z tego miejsca, aby je pojąć. Wtedy dopiero wiedziałbyś pan, jak przyjmować powszednie bajeczki, które mu naklektano<sup>42</sup>. Chodźmy stąd.

Spuściliśmy się znowu na dół w milczeniu. Przez ten czas rozważając w duchu dziwną istotę Machnickiego, mniemałem dostrzec w nim przeważający żywioł poetycki, który przy osłabionych innych władzach umysłu panował nad nim<sup>43</sup> tym silniej i stał się dla jego duszy szkłem optycznym, pokazującym jej cały świat w postaciach powiększonych i upięknionych za rzeczywisty; widziałem, że go razila moja prozaiczna szczerota<sup>44</sup>, odtąd więc postanowiłem być z nim poetą. W tym zamyśleniu postępowalem w głąb zwalisk, kiedy Machnicki wstrzymał mię:

— Za pozwoleniem — rzekł — panu wolno tu błędzić, ale nie mnie. Pan nie widzisz, jak ja, przeszłości; nie widzisz tu, jak ja, jej śladów; ciężko bym przewinił, żeby<sup>45</sup> się ich nie trzymał; okropnie bym za to odpokutował. Chcesz pan mieć wyobrażenie mojej kary? Spójrz na te miliony dokoła. Zresztą, jako król, mam także moje dworskie obrzędy, których się trzymać i których przestrzegać muszę.

Zwróciliśmy się więc nazad, w kierunku południa, i wyszliśmy zupełnie za obręb gruzów. O kilkanaście kroków leżał ogromny głaz samorodny. Machnicki podprowadził mnie ku niemu i rzekł:

— Przed wszystkim cześć grobom! Tu, pod tym kamieniem, leży ostatnie półtora

Odrodzenie

<sup>40</sup>przed laty kilka — kilka lat temu.

<sup>41</sup>jak *żeby* — jak gdyby.

<sup>42</sup>naklektać — tu: naopowiadać, nagadać.

<sup>43</sup>panował nad nim — w pierwodruku: panował mu.

<sup>44</sup>szczerota — szczerłość.

<sup>45</sup>żeby — tu: gdyby.



wieku. Olbrzymie zwłoki! nieprawdaż? Kto nad nimi nie pomodli się, ten jak niegodny, niepoświęcony, wchodzi do tego zamku, do całej przeszłości. — Po czym zdjął kapelusz, ukląkł, dał mi znak, żebym to samo zrobił; wpatrzył się w kamień, nieznacznie twarz jego zmieniła się w bryłę bez wyrazu prawie życia, jak żeby<sup>46</sup> duszę uniosło jakieś zachwycenie daleko od ciała; mimo to rżęsne<sup>47</sup> łzy posypały się z oczu, a usta, jakby obcym głosem, jakby poruszone zewnętrzną sprężyną, przemawiały te słowa:

— Każesz! Słucham. Jeszcze raz posiewam cię łzami. Na łzach mech wyrasta, ze mchu ziemia. W ziemi skrywa się ziarnko, z ziarnka strzela drzewo — tak Karpaty lasami porosły: tak ty, grób, porośniesz nowym życiem. Płyńcie, łzy! Policzą was kiedyś, zapłacą!

Skończywszy ów dziwny monolog, był jeszcze jakąś chwilę w stanie zewnętrznego odrętwienia; powoli ruszył okiem, życie wróciło do twarzy, powstał, pojrzał<sup>48</sup> na mnie, i obcierając ślady łez, zapytał:

— Płakałem? Nie dziw się pan — ile razy je widzę, tyle razy płakać muszę. Ale i to paroksyzm wariacji, powiedzą sąsiedzi; nieprawdaż? O, gdyby każdy z nich miał podobny przynajmniej raz z rana, a raz na wieczór, ten zamek stałby jeszcze cały, a przynajmniej już odbudowany. Widzisz pan dokoła te głazy? Wszystko to są groby, ale jakie groby! Całe zastępy bohaterów, czyny wiekowe, miasta, wieki, kraje, leżą pod nimi. Ten na boku na przykład, u samego wchodu do zamku, kryje wyprawę wiedeńską... Ale za mało dziś czasu na obejrzenie całego cmentarza, burza nam przeszkodzi.

W samej rzeczy, im wyżej słońce się podnosiło, tem większy zaduch napelniał powietrze, chmury gęstniały i grzmot burzy co chwila groził.

— Przebyliśmy święty próg zamku, możemy wejść wewnątrz! — rzekł Machnicki i szedł przodem.

Ostatnia scena przy głazie wpłynęła osobliwym sposobem na mój umysł, uderzyła naprawdę w poetyczną strunę duszy. Jakkolwiek poetyczność Machnickiego objawiała się zanadto może jaskrawo, była nią jednak, i przepłynęła do mojej fantazji, pozwólmy, że jak tchnienie zarazy. Owo przeobrażenie gładów prostych w podobne nagrobki zdało mi się być pomysłem tak pięknym, otwierało takie pole fantazji, że mimowiestnie<sup>49</sup> wszedłem w świat Machnickiego. Kupa gruzu przemieniła się dla mnie w zamek, jaki był przed wiekami<sup>50</sup>; ściany się podniosły w rozgrody pokojów starożytnych, wysokich, chmury opadły jak sklepienia, wyciągnęły się długie korytarze, wyrosły z ziemi kolumny, a na nich rozwinęły się krużganki, okna pojrzały różnobarwnymi szybami, cały gmach odetchnął przeszłym życiem, w każdej części zmartwychwstały ślady mieszkańców. Głuchy odgłos dalekiego grzmotu było to echo naszego stąpania po brzmiających posadzkach. Nie spotykamy wprawdzie nikogo, wszędzie pusto i głucho, ale ta pustka, ta cisza, są chwilowe: pan zamku wyjechał gdzieś z całym dworem, ale wróci. W możność takiego złudzenia nie wszyscy wierzą; są, którzy je pojmą: krótko trwa ono, ale się przytrafia obłąkanym i poetom. Byłem właśnie w jego pełni, kiedym ujrzał w jednym oknie rosnącą brzoźkę. Jej korzeń trzymał się wewnętrznego gzymsu, a wierzchołek na zewnątrz za okno wychodził; gałęzie wisiały tak posepnie, biała kora tak żywo przypominała biały strój kobiecy, że mimowolnie zawołałem:

— Jaka smutna! Jak gdyby wyglądała kochanka! Biedna!

— Kto taki? — zapytał mnie zdumiony Machnicki.

Postrzegłem się, odpowiedziałem więc, uśmiechając się:

— Nic! Nic! Przywidzenie! Nic więcej. — Naglił powtórny zapytaniem, wyznałem, że w brzozie wyobraziłem sobie dziewicę.

— Cyt! — rzekł z cicha. — Wyjdźmy stąd.

Ledwośmy odeszli, rzucił się na mnie z mocnym uściskiem i wołał:

— To nie złudzenie, to rzeczywistość, cud grobu, łaska grobu z panem. Czy wiesz, kogo widziałeś? — zapytał, uspokoiwszy się nieco. — To królowa Jadwiga. A widziałeś ją w najważniejszej chwili jej życia. Serce jej rozdarło najboleńszą raną. W jedną

<sup>46</sup>jak żeby — jak gdyby.

<sup>47</sup>rżęsny (daw.) — tu: obfity, rżęsiasty.

<sup>48</sup>pojrzeć (daw.) — spojrzeć.

<sup>49</sup>mimowiestny (daw.) — nieświadomy.

<sup>50</sup>zamek, jaki był przed wiekami — patrz objaśn. do tego ustępu we *Wstępie*, III: *Wpływ poezji mickiewiczowskiej*.

stronę ciągnie ją miłość Wilhelma, w drugą miłość narodu. Przemogło poświęcenie się dla narodu, ale boleść nie ustawała. Wygląda z trwogą przybycia Jagiełły, przyjmuje go jak męża i pana, ale lzy dla kochanka płyną. Szczęśliwy, kto ją widział w tej chwili, choć raz w życiu; widział on triumf miłości narodu. Szczęśliwy jesteś. Dusza twoja przejrzała, spodziewałem się tego. Odtąd jeszcze otwarciej będziemy z sobą. I mnie ten widok nie obcy, ale rzadki. Najczęściej przedstawia mi się jak drzewko. Między nami gadają, że to wszystko było gdzieś tam, w jakimś Krakowie. Nie wierz temu: i Kraków tutaj, i cała ta scena tu się odbywała. Wiem to z ust własnych.

— Pan z nią rozmawiasz?

— Czy ja z nią rozmawiam! A po cóż byłbym królem tego zamku? Jeżeli w nim żyję, to dlatego, że i on żyje. Nic tu nie ma, co by nie żyło dla mnie, co by ze mną nie rozmawiało! O! jak mnie nieraz bawią, a najczęściej gniewają ci powszedni ludzie, którzy tu czasem, nie wiem po co, przychodzą. Dla nich te drzewa, kwiaty, murawa, nic więcej, jak tylko zwyczajne drzewa, kwiaty i murawa. Biedni, gdyby im Bóg otworzył oczy, gdyby się chcieli porozumieć ze swoją duszą, padaliby tu na twarz przed każdym kwiatkiem, całowałiby w nogę każde drzewo, nie śmieliby stąpać po tej murawie. Zamieszkaliby tu chętnie na całe życie, i przez całe życie nie napatrzyliby się, nie nasłuchaliby się tego, co się tu działo i dzieje.

Tymczasem przewidywana burza podniosła się na wysokość zamku, powietrze całkiem ściemniało, grzmoty i błyski coraz bliżej się objawiały i wiatr z niezwykłą się podniósł gwałtownością. Nie spodziewając się takiej i tak prędkiej nawałnicy, nie zapewniłem sobie schronienia; począłem więc być niespokojny i zapytałem Machnickiego, czy nie wie<sup>51</sup> gdzie bliskiej chaty, w której bym bezpiecznie przeczekał pierwszą natarczywość burzy.

— Bądź pan spokojny! — odpowiedział. — Jestem królem w moim państwie, wszystko już obmyślane. Nie każdemu bym to zrobił, nie zrobiłem tego nikomu dotąd, ale pan masz wszelkie prawo do mojej gościnności, pod jednym warunkiem:

— Pod jakim?

— Dasz mi najuroczystsze słowo, że nikt nie dowie się z jego przyczyny o miejscu, w którym się schronimy.

Dałem słowo z chęcią.

— Chodź pan za mną.

#### IV. PODZIEMIE

Związany słowem danym przed chwilą Machnickiemu, muszę zawiesić na zawsze ciekawość czytelnika i zostawić w tym miejscu przerwę opowiadania, której może nigdy nie dopełnić. Wolno mi tylko powiedzieć, że nie wychodząc z obrębu gruzów, zatrzymaliśmy się nad głazem znacznej wielkości. Machnicki zlecił mi obejrzeć się na wszystkie strony, czy nie jesteśmy widziani przez kogo obcego, a kiedy to dopełniwszy, zwróciłem się ku niemu, ujrzałem ów kamień już podniesiony, a na jego miejscu ciemny otwór pod ziemią.

— Spuszczaj się prędko! — zawołał.

Zrobiłem jak kazał, on skoczył za mną; w okamgnieniu kamień znowu zapadł i zostaliśmy w zupełnej ciemności.

— Taka jest brama mojej stolicy — rzekł Machnicki. — Idź pan za mną, trzymaj się ściany, a pamiętaj, że mamy przed sobą dwadzieścia schodów.

Szedłem, trzymając się kroków przewodnika, macając ścianę i licząc stopnie. Schody były wygodne, szyja podziemia tak wąska, że ledwie dwóch ludzi obok siebie pomieścić mogła, bez trudu więc szedłem. Na dwudziestym stopniu zatrzymaliśmy się; Machnicki skrzeszał ognia, zapalił lampę stojącą w małej framudze, jakby umyślnie na to wykutej, i przemówił:

To pierwszy dziedziniec mojego pałacu; cóż myślisz o nim?

Powiodłem okiem dokoła i widziałem niekształtną jaskinię, obszerność tak nieznacznej, że jeden rzut oka z któregokolwiek punktu mógł ją całą ogarnąć, chociaż przy świetle tak słabym jak blask lampy. W utworzeniu jej nie widać było śladu sztuki; pod ścianami stały lub leżały ludzkie kości, na ścianach wisiało kilka zbroi starożytnych, mocno zardzewiałych.

<sup>51</sup>wiedzieć (reg.) — tu: znać.

— Zapewne to straż pałacowa? — rzekłem. Machnicki potwierdził mój domysł skieniem głowy. Głównie jednak zwróciły moją uwagę drzwi dosyć wielkie, żelazem pokryte, leżące po lewej ręce naszego wchodu.

— A to musi być wejście do podziemnego przejścia, o którym powiadają, że się aż pod Krosno ciągnie?

— Może i dalej — odpowiedział Machnicki obojętnie.

Po krótkim zatrzymaniu się przystąpił do innych drzwi, podobnych pierwszym, a leżących przed nami, dobył klucza, otworzył je, sprowadził mnie o kilka stopni niżej do innej jaskini, obszerniejszej nierównie niż poprzednia. Z pierwszego wejrzenia zgadłem, że to było jedno z owych okropnych więzień, które koniecznie wchodziły do budowy dawnych zamków; jeszcze wisiały szczątki łańcuchów na żelaznych kółkach, wpuszczanych w kamień na olów. Machnicki, nie dając mi czasu do rozpatrzenia się, uchylił jedne z licznych drzwi pobocznych, wprowadził mnie do nowej kryjówki z tajemniczym milczeniem, zapuścił w jej głębie wyciągniętą rękę z lampą, a ja wyraźnie ujrzałem pod ścianą drewniane i żelazne narzędzia tortur.

Mimowolny dreszcz przebiegł ciałem, włosy stanęły na głowie, cofnąłem się za drzwi jak popchnięty. Okropna przeszłość miejsca zawisła przed myślą<sup>52</sup> jak czarna zasłona, a tłem jej przesuwały się w ognistym malowidle sceny tyranii, jakich kiedykolwiek naczałem się lub nasłuchałem w opisach miejsc podobnych, jakie tylko wyobraźnia, przerażona ich widokiem, utworzyć sobie potrafi. Wrażenie to zagrało naraz we wszystkie zmysły: w powietrzu uczulem duszącą woń trupiej zgnilizny, każde uderzenie stopy o twardą posadzkę, odbite echem jaskini, zamieniło się w jęk przeciągły, ciemność i światło lampy, połamane wzajemną walką, wyglądały spoza kolumn samorodnych i z załomów skalistej ściany postaciami ofiar mniej więcej wyraźnymi, bladymi; jak żyję, nie miałem podobnego widzenia.

Machnicki stał ciągle w izbie tortur; szybko zbliżyłem się ku niemu, a ujrzawszy przed nami nowe drzwi, na pół uchylone, chciałem wyjść przez nie i pociągnąłem za sobą Machnickiego. — O, nie! — odezwał się Machnicki głosem uroczystym — z tego miejsca nie było i nie ma wyjścia, chyba tamtędy.

Na tych słowach otworzył do reszty drzwi uchylone i wskazał za nimi stos kości w dole, a w górze wąski otwór, przez który wpadało cokolwiek dniowego światła:

— Jest to cmentarz więzienia!

— Wychodźmy stąd! — zawołałem z niecierpliwością. — Wychodźmy którędykolwiek, bylebyśmy wyszli — i drżąc mimowolnym dreszczem, ciągnąłem w tył Machnickiego.

On, przeciwnie, miał twarz ciągle obojętną, zimną; uległ mi jednak i wrócił do jaskini więzienia, ale tutaj zatrzymał się, utkwiał we mnie przenikające oczy i mówił powoli, zatrzymując się na pewnych wyrazach, niby przywiązując do nich większą wagę.

— Tak, jest to więzienie zamkowe. Miejsce okropne. okropniejsze może, niż ci się wydaje, bo nie widzisz w nim nic więcej nad więzienie zamku, a ja... ja coś więcej tu widzę. Jestem jednak spokojny, przynajmniej taki jak zawsze, a ty drżysz, jesteś cały zmieniony. Dziwi mnie to. Cóż lepszego twój świat, w którym żyjesz? O, rozumni ludzie, jacy wy zabawni, dziwni! Nie obudzisz ich pojęcia, nie domacasz się ich duszy, dopóki nie skupisz wrażeń w jeden piorun i nie uderzysz ich zmysłów jak piorunem. We wszystkim zmysły, nigdzie duszy. Nigdzie duszy, która by swoją potęgą ogarnęła przestrzenie i miliony, skupiła je w mikroskopie jednej myśli, jednego uczucia. Daj mi za więzienie obszar kilku tysięcy mil, a ma się za wolnego; morduj około niego tysiące, niech tylko nie słyszy ich jęku, nie widzi ich trupów, a będzie dobrze jadł, spokojnie spał, będzie wesoły, szczęśliwy, jak w raju. Dopiero kiedy go wprowadzisz między ściany jaskini, kiedy mu pokażesz kości zamordowanych, zabrzęczysz w uszy łańcuchami, kiedy mu powiesz: oto twój świat, oto twoje życie — dopiero wtedy ocknie się, zadrży, jakby mu powiedziano coś nowego; i tacy ludzie mają być ludźmi zdrowego rozsądku? Silnych zmysłów? A ja ci powiadam, że to są ludzie zmysłów zużytych, niedołożonej myśli, skrepowanego ducha. Cała ich mą-

<sup>52</sup>Okropna przeszłość miejsca zawisła przed myślą — podany tu obraz miejsca tortur i cmentarzyska więziennego powstał prawdopodobnie pod wpływem pokrewnego obrazu w *Nieboskiej Komedii* Krasińskiego (Orcio i Mąż w więzieniu podziemnym).

drość, że znają kilka liter zmysłowych; nie mają wyobrażenia o języku duszy, bez którego i sam się nie nauczysz, i nie nauczysz drugich nic szlachetnego, nic wzniosłego.

Zatrzymał się na chwilę, a zmieniając nagle ton głosu i cały wyraz twarzy w łagodniejszy:

— Przebacz! — zawołał. — Przebacz wariatowi to kazanie. Nie do ciebie ono wymierzone. Nie kładę ciebie na równi z resztą ludzi. Dałeś mi już niejedną dowód, że dusza twoja ma widzenie silniejsze, rozleglejsze: nie jest na łasce zmysłów. Gadałem sobie ot tak! z potrzeby wygadania się, w chęci jak najbliższego poznania się z tobą; gadałbym, bo to jest rozkosz pomówić z człowiekiem, który nasz język zrozumie. Teraz pójdziemy dalej.

Mimo wszystkiego, co Machnicki dopiero powiedział, opuściłem więzienie z prawdziwą przyjemnością. Wróciliśmy drogą, którąśmy przyszli. Zatrzymaliśmy się znowu w jaskini wyższej, przede drzwiami, o których już wspominałem, a które według wszelkiego podobieństwa zamykały podziemną wycieczkę z zamku na zewnątrz.

Drzwi były mocne i ciężkie; z głuchym zgrzytem ustąpiły pod Machnickiego ręką i odsłoniły nam nowy korytarz, dosyć przestronny, przykro w dół spadający; jakoż po kilku krokach zaczął się nowy szereg stopni, prowadzących coraz głębiej. Skracając o ile można i trzeba opowiadanie, nadmienię tylko, że przebyliśmy pięć czy sześć jaskiń rozmaitej wielkości i tyleż pięt schodów mniej więcej licznych. Głębokości, w jakiej byliśmy, po niczym zmiarkować nie mogłem, zdawała mi się jednak ogromną. Szliśmy ciągle podziemiem skalistym. W niektórych miejscach ślad ręki ludzkiej był widoczny, częściej samorodna objawiała się przyroda. Uważałem<sup>53</sup> czasem mniej więcej obszerne w ścianach otwory, z których domyślałem się różnokierunkowych rozgałęzień tegoż samego przechodu<sup>54</sup>. Szliśmy w takim milczeniu, że przewodnik nie odpowiedział nawet na kilka zapytań, które mu w ciągu tej wędrówki zrobiłem. Było w tym milczeniu coś uroczystego.

W dziwny też stan przechodziły wyobrażenia, dusza i wszystkie moje władze; kto nie był w podobnym położeniu, ten nie zdoła utworzyć sobie jego pojęcia. Na to potrzeba znajdować się o sto przynajmniej sążni pod ziemią, wśród skał nagich, dzikich, jednostajnych, ze wspomnieniami tylko dniowego światła i żyjącej przyrody, w ciszy tak zupełnej, że odgłos burzy, nieustannie piorunującej z całą potęgą<sup>55</sup>, wyraźny z początku, głuchnąc stopniami, objawiał się teraz jedynie w ciągłym prawie drzeniu ziemi i dziwnym jakimś brzęku głazów, którego po żadnym wiadomym nam dźwięku wyobrazić sobie nie można. Nie pojmowałem równie, dlaczego mimo większej coraz głębokości odgłos ten zamieniał się w coraz wyraźniejszy huk piorunów. Nagle huk ten rozległ się grzmotem tak silnym, jak żebyśmy<sup>56</sup> zwyczajną tylko ścianą przedzieleni byli od reszty świata.

Machnicki zatrzymał się; w twarzy jego ujrzalem podniesienie ducha, promieniące na tle pogodnego, cichego zadowolenia, a w całej postawie coś triumfalnego.

— Słyszałeś ten piorun? — zapytał mnie.

— Słyszałem.

— Wiesz, co on znaczy?

Odpowiedź w duchu zapytującego niełatwa była. Machnicki, bądź widząc mój kłopot, bądź przez zwykłą sobie żywość, która często nasuwała mu rozwiązanie własnych jego zapytań, przyszedł mi teraz w pomoc.

— To strzał powitania! — odpowiedział. — Powitanie królewskie, nieprawdaż? A tę niespodziankę winien jestem mojemu gościowi tak, tobie, jak na ten raz, jestem ją winien, mój gościu szanowny! — dodał, ściskając mnie serdecznie za rękę. — Za chwilę sam to pojdziesz.

Po tych słowach postąpiliśmy naprzód kilka kroków, stanęliśmy przed niewielkimi drzwiami; Machnicki otworzył je lekkim ku sobie pociągnięciem i wprowadził mnie do nowej jaskini.

Tu obracając się do mnie, rzekł z pewną urzędową powagą:

— Na koniec jesteśmy u celu naszej wędrówki. Otóż i stolica króla zamczyska. Sto-

<sup>53</sup>uważać — tu: zauważać.

<sup>54</sup>przechód (daw.) — przejście.

<sup>55</sup>z całą potęgą — w pierwodr.: i z całą potęgą.

<sup>56</sup>jak żebyśmy — tu: jak gdybyśmy.

Burza, Omen

Grzeczność, Obyczaję,  
Gospodarz, Gość

lica, pałac, więzienie, piekło, raj, co chcesz. Ale o to mniejsza, dosyć, że cię witam w tej chwili jak gospodarz gościa, jak brat brata; powitanie królewskie na później zostawimy. Jesteś znużony, nieprawdaż? Odbyleś przechadzkę mordującą, pora późna, lekki posiłek nie zawadzi, wszak tak? Pozwolisz więc, że zacznę od ugoszczenia podróżnego. Gościnność to cnota naszych przodków rodzima, wielka, święta, jeden z klejnotów domowego ich życia. Znam całą wartość podobnych skarbów; nie pozbyłbym się najlichszego z nich za nic w świecie: to podstawa publicznej narodowej potęgi. A jeżeli kto, to król powinien dawać przykład troskliwości o nie. Siadaj więc i spocznij. Albo lepiej, zostawiam ci zupełną wolność. Jesteś zapewne ciekawy rozpatrzyć się w moim pałacu. Rób, co ci się podoba, ja tymczasem zajmę się posiłkiem.

To pozwolenie było mi bardzo na rękę. Pałac Machnickiego, jak go nazwał, zasługiwał ze wszech miar na bliższe rozpatrzenie się, sądzę nawet, że rysem jego dogodzę potrzebie czytelników, którzy by mieli dłuższą cierpliwość towarzyszyć aż do końca mojemu pobytowi z Machnickim.

Jaskinia ta była obszerniejsza jak wszystkie zwiedzone dotąd; miała ona kształt wielokąta okrągłego, około pięćdziesięciu stóp obwodu, ile od oka<sup>57</sup> sądzić mogłem. Do jej budowy wchodziły dwa ogromne głazy, poziomo względem siebie leżące; niższa, główna część pieczary wykuta była w głazie spodnim, wierzchni zaś, wyłobiony wklęsło, tworzył sklepienie; rozdzielała je szeroka szczelina, opasująca niby gzymsem całą jaskinię. Szczelina ta, w stronie przeciwległej drzwiom wchodowym rozszerzona sztuką w okrągłe otwory, a zresztą założona kamieniami, zamieniała się w samorodne okna, które przez swój kształt lejkwaty na zewnątrz jaskini dawały swobodny widok na ogromne płaszczyzny, u stóp zamkowej góry leżące, i wpuszczały wewnątrz tyle dniowego światła, ile go potrzeba było, aby się obejść bez sztucznego oświetlenia. Dotąd dwa takie okna widziałem; za ich pomocą przekonałem się, że góra z tej strony zbiegała urwisto do dołu. Wewnętrzne urządzenie i przyozdobienie pieczary dziwny miało pozór: ściany, sklepienia, posadzka nawet, były mchem nałożone tak grubo, że widok głazu ginął pod nim zupełnie. Kątowość ich obwodu tworzyła kilkanaście ścian, z których co druga ściana wyrobiona była w głęboką framugę. Ściany wystające ozdobione trofeami ze strzał, mieczów, strzelb, pancerzy i innej broni, bądź dawnej, bądź nowszej, tak, że to ubranie dawało pieczarze pozór zbrojowni, a przynajmniej jakiegoś muzeum rycerskiego; gdzieś tam wisiały herby kamienne, ocalone widać reszki z gruzów zamczyska, kilka starych portretów, a nawet kości ludzkie pomieszane w trofea broni. Szczelinę, o której wspomniałem wyżej, że opasywała pieczarę na kształt gzymsu, przyozdabiał łańcuch kul rozmaitej wielkości, poprzerwany w odstępach wymierzonych trupimi głowami, co wszystko razem dziwny przedstawiało widok i niepojęte robiło wrażenie. Za ramy do framug służyły pęki młodych drzewek: każdy pęk, przewiązany w połowie swojej wysokości, rozdzielał się od przewiązki na dwie części i wierzchołkami ich łączył się na obie strony z pękiem najbliższym, w tenże sposób urządzonym; tworzył się stąd dokoła pieczary szereg kolumn i łuków gotyckich. Nadto pod każdą ścianą były wygodne siedzenia z kamienia, jednorodnego ze ścianami. Framugi zasłonię<sup>58</sup> makatami i adamaszkami, ocalonymi widać szczątkami zamkowych obić.

Najmocniej zajęła mnie framuga na wprost drzwi wchodowych leżąca. Po obu stronach jej otworu stały dwa szkielety, odziane całkowitym uzbrojeniem dawnych husarzy, z kopiami tak nachylonymi ku sobie, że proporce ich, zwisłe aż do ziemi, układały się w rodzaj zasłony. Nad wnijsciem<sup>59</sup> wisiał rozpięty orzeł rzeczywisty.

Idąc od tego miejsca ku drzwiom lewą stroną pieczary, w najpierwszej z porządku framudze znajdował się mały księgozbiór; składał się on z kilkuset książek, między którymi największa część, jak mi się zdawało, starych kronik; na środku stał stolik do pisania z całym stosownym przyborem i wygodnym staroświeckim krzesłem. Sam stolik, roboty prostej, ale dosyć starannie oglądony, leżał na czterech klockach, korą okrytych, po dwa w głoskę X związanych; a tak był ustawiony pod jednym ze wspomnianych okien, że pasmo światła jak raz na niego padało i pracującego przy nim oświetlało dostatecznie.

Dom

<sup>57</sup>od oka — dziś: na oko.

<sup>58</sup>zasłonięty — dziś: zasłonięty.

<sup>59</sup>wnijsćie (daw.) — wejście.



Na stole leżała ogromna księga, w większej połowie zapisana. W następnej framudze była sypialnia Machnickiego: za łóżko służyła ogromna kamienna płyta, wzniesiona o pół łokcia nad posadzkę i grubo mchem usłana; pościel zaś składała się z łosiej skóry, poduszki skórzanej i koca do przykrywania się.

Co się tyczy innych framug, wszystkie prawie służyły za skład jakiś: i tak jedna zapelniona była materiałami potrzebnymi do stolarki, ślusarki, szewstwa i krawiectwa; w drugiej złożone były stosownie do różnych rzemiosł narzędzia, jako to: siekiery, heble, piłki; w dalszych mieściła się spiżarnia: składała się ona z owoców, nabiału przyprawnego, suchych ryb, wędzonych mięs, jarzyn, chleba, i tym podobnej żywności. O ile opisane miały pozór powszedni, o tyle zajęła mnie ostatnia. Leżała ona po prawej ręce miejsca zasłoniętego proporcami, pod oknem do pierwszego podobnym, odpowiadając bibliotece. Miała kształt półokrągły; wysłana była mchem, jak cała pieczara, tylko nierównie ozdobniej i smakowiej, bo na tło mchu rozrzucono konchy, muszle, świecące kamyki, szkła różnokolorowe, robaczki o błyszczących skrzydełkach i tym podobne. Głównie jednak przyozdabiała ją okrągłe, jasne źródło; leżało ono śród posadzki jak okrągłe lustro: zrównoważony przyływ i odpływ wody utrzymywał je w stanie wiecznego wyglądenia; dodawało mu blasku okno, jakby umyślnie na to wyrobione, ożywiał zaś lekki, podziemny szelest, który szeptał o tajemniczych drogach jej nurtów, a nie klócił bynajmniej spokoju powierzchni. Musiała to być godowa izba Machnickiego, gdyż u dołu całej ściany wystawało półkolem kamienne siedzenie, a siedzenia dotykał stolik, umieszczony jak raz na jego połowie; w tej chwili stało na nim śniadanie, do którego właśnie mnie wezwano. Wprawdzie dostarczyła go tylko spiżarnia Machnickiego: nie było tam nic więcej prócz sera, masła, owoców, mięs wędzonych i chleba, a za cały napój woda, pod bokiem stojąca, ale tak potrzebowałem jakiegokolwiek pokarmu, spotkałem się z nim w tak dziwnym miejscu i położeniu, zawezwano mnie z taką serdecznością, że w całym życiu nie pamiętam chwili jedzenia przyjemniej spędzonej. Mogłem oddać się zupełnie tej przyjemności, bo uprzejmy gospodarz wziął na siebie wszystkie niedogodności podobnej we dwóch biesiady, nawet rozmowę; przedmiot jej sam się nastęczał.

— Skromny posiłek — mówił on — skromny, a nawet lichy, to prawda; ale królewski, wysoce królewski. Komuż przystoi bardziej żyć podobnie, jeżeli nie królowi, jeżeli nie takiemu jak ja człowiekowi, który z wysokości swojego stanowiska ogarnia, a przynajmniej powinien ogarniać miliony biedaków, widzieć wszystkie ich potrzeby, czuć wszystkie nędze. O tak! niech mi się w truciznę zamieni pierwszy kąsek, który pożyję<sup>60</sup> bez koniecznej potrzeby, niech mój żołądek na wieki się zamknie, jak tylko zażąda zbytkownego pokarmu. Jem tylko tyle, abym żył, tylko tyle, w całym znaczeniu tego wyrazu. Zresztą odwykłem od waszych przyprawnych potraw. Zginąłbym, gdybym zechciał żyć po waszemu. Zaszedłem z przyrodą tak daleko, w tak bezpośrednie stosunki, że już bym nie mógł przენiewierzyć<sup>61</sup> się jej bezkarnie. Grzeszę jednak czasami, ale Bóg świadkiem, że mimowolnie. Kiedy niekiedy muszę zamieszać się pomiędzy ludzi, bo zwykle całe zimy pomiędzy nimi przepędzam, dla spraw mojego królestwa, a wówczas rad nierad muszę zastosować się, choć w części, do ich sposobu życia. O! gdybyś wiedział, jak drogo muszę opłacać te wykroczenia; ciężko pokutuję za nie. Pomijam choroby, tortury ciała; ale umysł, serce, dusza, wszystko idzie pod chłostę, myśl gaśnie, serce stygnie, dusza wpada w jakiś dziwny zawrót, opuszcza mnie cała moja królewskość; nieraz jestem już bliski zostania jednym z waszych rozsądnych. Dzięki Bogu, że to wszystko trwa pewny czas tylko; pokuta przemija, jednam się z przyrodą, państwo wraca do posłuszeństwa, i jestem znowu królem, jak byłem. Ale o to mniejsza. Jakże znajdujesz<sup>62</sup> moje królewskie mieszkanie?

— Prześliczne! — odpowiedziałem bez namysłu. — Dziwne! Tak poetyczne, że opis jego może się wydać zmyśleniem; jednym słowem godne całego państwa i jego władcy. A uwielbieniu temu równa się ciekawość...

— Rozumiem — przerwał Machnicki — chciałbyś wiedzieć, skąd się ono poczęło i jak przyszło do tego stanu? Będziesz to wiedział w swoim czasie; przebac, że nie zaraz. Powieść za długa, a rzecz ważna, jedna ze świętych dla mnie tajemnic; ubliżyłbym

<sup>60</sup>pożyć (daw.) — spożyć.

<sup>61</sup>przeniewierzyć (daw.) — sprzeniewierzyć.

<sup>62</sup>znajdować (daw.) — (kalka z fr.) oceniać; odnosić wrażenie.

Jedzenie

Grzech

Pokuta

jej, gdybym ją wyłożył na stół zamiast wetów<sup>63</sup>. Żeby ją godnie opowiedzieć i usłyszeć, potrzeba stosowniejszego miejsca i pory, niż chwila jedzenia i stół zastawiony jadłem. Ułatwimy się wprzód z jednym.

Nieposłuszeństwo byłoby niewczesne i bezskuteczne; poszedłem więc w milczeniu za radą gospodarza; wiedziałem nadto, że nie stracę na tym, jeśli mu zostawię zupełną swobodę postępowania. Skłonność wywnętrzenia się posuwała się w Machnickim aż do namiętności, aż do słabości; podawał się jej tym swobodniej, z tym większą rozkoszą, im powolniejszego znajdował słuchacza; wtedy powiedział więcej, niżby chciał powiedzieć. Powinienem jeszcze wyznać, że rozmowa jego bynajmniej mnie nie nużyła, przeciwnie, miała szczególniejszy urok. Tyle tam było życia w głosie, tyle uczucia w każdym ruchu, tyle duszy w całej postawie, tyle wzniosłej fantazji w pomysłach, tyle trafego sądu w uwagach, w ogóle taka logiczność, ma się rozumieć logiczność właściwa stanowisku, z którego na wszystko zapatrywał się Machnicki, tyle prawdy i pożytecznej nauki w głębi jego obłąkania, pod dziwaczną barwą panującej myśli coś tak niepospolitego, coś tak rzewnego, że porwany wirem improwizacji, zapomniałem o królu zamczyska, o obłąkańcu, a wchodziłem mimowolnie w stan człowieka, który czyta piękną fantastyczną powieść lub patrzy na przedstawie<sup>64</sup> jakiej fantastycznej sceny.

Znalazłem się<sup>65</sup> właśnie w podobnym stanie, kiedy Machnicki po krótkim milczeniu znowu tak zaczął z uśmiechem zadowolenia, że znalazłem jego mieszkanie, jak sobie życzył:

— Przyznajesz więc, że mój pałac jest prawdziwie królewski. Spodziewałem się tego, bo wiem, że patrzysz okiem duszy niepospolitej. Ale dotąd widzisz tylko ciało; nabierze ono większej wartości, kiedy ci odsłonię jego duszę, bo w każdej rzeczy dusza jest wszystkim! Stąd zwyczajni ludzie w ciągłym są złudzeniu, że z powierzchowności tylko sądzą. Któryż z nich, wejrząwszy na górę zamczyska, domyśli się miejsca, w którym oto jesteśmy, i życia, które tu w tej chwili panuje<sup>66</sup>?

— Zmyślenie! bajka! zawołaliby, gdybyś im o tym powiadał. Sami jednak wiecznie tworzą kłamstwa i wierzą kłamstwom. Na przykład na karb tego zamku i jego króla Bóg nie wie co plotą; a wszystko tak prozaiczne, drobne, nikczemne. W niczym śladu, w niczym promyka wielkiej myśli.

— Koniec końców, zamek dla nich to tylko budynek kilkuwiekowy, dzisiaj gruzu na nic nie przydatne, chyba na materiał do jakiej gorzelni. Machnicki? Ot sobie wariat, ale nic więcej, i zamykają usta spokojni, jak żeby<sup>67</sup> największą prawdę powiedzieli. Nie lepsze od nich kroniki, a przynajmniej mało co lepsze. Co to za nędza te wszystkie kroniki! Wierzyłem im kiedyś, mam je dotąd jeszcze, ale dzisiaj nie wierzę. Prawda, trzeba było cudu, żeby mi się oczy otwały, ale się otwały: jestem dziś w samym źródle prawdy. Spytaj kronik o początkach tego zamku — odpowiedzą ci: O, dawny! Kilka już wieków stoi. Nie wiedzą nic o tym, że on trwa od potopu. Ziarno jego przyplęnęło z wodami potopu, z raję; spoczęło w tej pieczarze, przebiło swoim kielkiem skały i wyrosło w zamek. Z czasem, z czasem zamek praojciec rozpuścił swoje korzenie podziemne, Bóg wie, jak daleko, za dziesiąte góry, za dziesiąte wody; Bóg wie, jakie zamki powstały z jego odrośli: warszawski, krakowski, gnieźnieński i krocie innych, i Bóg wie, jakie jeszcze powstaną; ale to tylko odrośle; główny ich korzeń tutaj, tutaj kołyska ich dziejów.

— Zdziwisz się, kiedy ci powiem z pewnością, że tutaj mieszkali wszyscy królowie od pierwszego aż do mnie, owe Lechy, Krakusy, którzy nic byli ani takimi Lechami i Krakusami, jak nam kroniki przedstawiają, i żyli nierównie dawniej, niż pamięć naszych kronik zasięga. Tu miały miejsce najważniejsze wypadki naszych dziejów. Chwile najwznioślejsze, najrzewniejsze, najokropniejsze naszego życia mają tu swoje groby i pomniki: mówię o tych, które dziejopisowie z łaski swojej zanotowali, a dopieroż te, o których nie zasłyszeli, których ani się domyślali! I nie mogli zrobić lepiej, bo nie znali tego miejsca, nie żyli w nim, nie spili się z nim duszą; a tylko tutaj mogli czerpać wiadomość całej przeszłości, bo tu jest jądro naszego życia.

<sup>63</sup>wety (daw.) — deser.

<sup>64</sup>przedstawa (daw.) — przedstawienie.

<sup>65</sup>znalazłem się — w wydaniu z r. 1870: *znajdywałem się*.

<sup>66</sup>panuje — w pierwodruku: *pracuje*.

<sup>67</sup>jak żeby — jak gdyby.

— Powiadam ci: nie ma tu ptaka, który by o tej przeszłości nie śpiewał, nie ma wiatru, który by nie wzdychał jej smutkiem; nie ma kropli rosy, która by jej łzą nie była; zapytaj każdego cienia chmury, co się po tych gruzach przesuwają, każdego tętentu, ilekroć nogę postawisz, zapytaj tej wody, co tam wiecznie szepce, a usłyszysz taką powieść, jakiej żaden pisarz dotąd nie wymyślił i wymyślić nie zdoła; trzeba tylko umieć zapytać i słuchać.

— Ten orzeł, co go widzisz nad proporcami, to pierwszy orzeł biały, co się wzniosł nad tą ziemią; on jeden opowie ci całe jej życie.

— Dlatego to osiadłem i zamknąłem się tutaj? Aby ratować życie, trzeba zejść do jego źródła.

— Wyobraź sobie moją rozpacz, moją wściekłość, kiedy przyjdę do szlachcica i mówię: mój panie, zamek coraz bardziej niszczy! — a on mi odpowiada: prawda! ale to takim tonem, jak żeby<sup>68</sup> przyświadczał, że słońce świeci, albo deszcz pada, a myślał o czym innym. Zniecierpliwiony wołam: zamek upada, powtarzam panu; trzeba go ratować wszelkimi siłami, jak najprędzej; on zaś na to: nie warto zachodu. Czasem zrobi uwagę, że będzie ładny las w tym miejscu, albo zacznie ubolewać: co za szkoda, że tyle gruzów, byłby kawał roli i kilka kop zboża.

— Obląkani! Głową i sercem! Chcieliby wszędzie widzieć swoje liche budowle, swoje warsztaty, swoje zboże. Nie wiedzą o tym, że są miejsca na ziemi, którym jedynie przeznaczono wydawać myśl, pożywienie dusz milionów; obróć je na użytek pojedynczego ciała, a będziesz winny świętokradztwa, popełnisz zabójstwo na duszy narodu. Ale do tego nie przyjdzie. Od czegoż byłbym królem? O! dopóki żyję, nie przyjdzie do tego. Oprę się całą potęgą mojej duszy i duszy zamku. Z ziemią, z powłoką mogą zrobić, co im się podoba, mają przemoc; ale nie dotkną życia; przechowam je, ocale, oddam w ręce pewne, w silniejsze od moich, a wtedy biada, biada samolubom zdrajcom!

Nagle umilkł: pierś jego robiła silnym wzburzeniem, w oczach gorzał ogień rozplamionej duszy, marszczki czoła połamały się w tajemnicze charaktery groźby; nie widziałem jeszcze podobnego wyrazu w jego twarzy, w niczyjej może twarzy nie widziałem dotąd wyrazu oburzenia, który by obok tego łączył w sobie tyle dzikiej energii i wzniosłości; udałem jednak, że uniesienie to uszło mojej bacności, i mniemałem ulżyć jemu, zwracając rozmowę do innego przedmiotu.

— Co za szkoda — rzekłem — że wszystko, co tu widzę, co słyszę, czego zresztą wolno mi domyślać się, pozostanie może na zawsze w twojej tylko duszy, zacny panie Machnicki, albo zagaśnie w cieniach twojego podziemia. A tymczasem wiadomość tych dziwów, tych dziejów, o których mi napomknąłeś, mogłaby przynieść światu wiele korzyści, kto wie, czy nawet nie jest mu konieczna. Człowiek człowiekowi, pokolenie pokoleniu zdają swoje prace: tym tylko sposobem dokonywają się wielkie dzieła. Szkoda więc byłaby, żebyś zeszedł bez następcy i bez zostawienia śladu twojej pracy i twoich wiadomości.

Niewinny mój wybieg udał mi się; tejże chwili postrzegłem w Machnickim zmianę, jakiej pragnąłem; burza uczuć ustąpiła z twarzy, została tylko po niej pewna uroczystość; z tą uroczystością słuchał mnie cierpliwie i odpowiedział, skoro mówić przestałem:

— Obawa twoja chwalebna, ale w tym razie próżna. Następcą, mój następcą... opatrność go wynajdzie, jak mnie wynalazła. Praca też moja nie przejdzie bez śladu. Przekonam cię natychmiast.

Poprowadził mnie ku stolikowi, na którym leżała uważana<sup>69</sup> już przeze mnie ogromna księga.

— W tej księdze — rzekł — wszystko znajdzie ten, kto będzie powołany kończyć moje roboty. Są tu dzieje moje, dzieje państwa, cała jego przeszłość i stan obecny; jest tu wątek wszystkich spraw jego, prawodawstwo, polityka, proroctwa nawet, zgoła wszystka mądrość mojego państwa. Nieomylny to przewodnik królów zamczyska. Nie sądz, że przywiązuję do tej księgi większą wagę niż warta, że to jest księga zwyczajna, zwyczajnie pisana. Nie sądz tak. Pisała ją pióro anioła, pod natchnieniem anioła tego zamku, który wiecznie stoi nad nim i świeci jak południe; wszystko też w mojej księdze jasne jak południe, święte jak anioł, prawdziwe jak jego obecność w tych miejscach.

<sup>68</sup>jak żeby — jak gdyby.

<sup>69</sup>uważana — w pierwodruku: zauważana.

— Czyja zaś ręka pisała? Czasem moja, nie zawrze moja, a często mnie nawet nie wiadoma. Oto masz dowód.

Przerzucił kilkanaście<sup>70</sup> kart i pokazał mi w samej rzeczy kilka charakterów całkiem odmiennych, jak żeby<sup>71</sup> inną ręką pisanych, co jednak łatwo sobie wytłumaczyć bez uciekania się do nadzwyczajnych przyczyn, że obłąkaniec z tak silną wyobraźnią zdolny był w gwałtowniejszych przystępach swojej choroby albo całkiem utracić świadomość siebie, albo uważać się za osobę, której rolę przybrać mu się podobało.

— Na tym nie koniec! — mówił dalej. — Dam ci jeszcze ważniejszy dowód, że myślę o przyszłości mojego państwa i nie chcę zamknąć w sobie samym jego tajemnic. Przystąpimy więc do najważniejszego obrzędu.

— Dotąd byliśmy z sobą jak gospodarz z gościem, jak prywatny z prywatnym; czas już, abyś mnie obaczył w całej ozdobie królewskiej, poznał ostatecznie króla zamczyska. Nie myśl, żeby mnie do tego pobudzało proste przywidzenie; o nie! mam ci objawić takie rzeczy, których mi nie wolno objawić, tylko z mojego tronu, pod zasłoną królewskiej powagi, a może i pod bodźcem królewskich cierpień. Pamiętaj nade wszystko, że tym czynem dowodzę ci nadzwyczajnej mojej przychylności<sup>72</sup>, nadzwyczajnego zaufania. Pewny jestem, że go nie zawiedziesz. Rozstańmy się teraz na chwilę. Przez ten czas masz wolność przepatrywać moją kronikę. Nie dziw się, jeżeli za długo zostawię cię w oczekiwaniu. Są pewne obrzędy przygotowawcze, bez których dopełnienia nie wolno mi dawać uroczystego posłuchania.

To rzekłszy, skinął ręką na pożegnanie i wszedł pod zasłonę proporców, a ja zacząłem przezierać zostawioną mi księgę.

## V. HISTORIA MACHNICKIEGO

Korzystając ze względów Machnickiego, starałem się przejrzeć jego kronikę w czasie jak można było najkrótszym; byłem prawie pewny, że niedługo zostawi mnie sam na sam, przeleciałem ją więc raczej oczami, aniżeli czytałem. Mimo tego pośpiechu udało mi się zatrzymać uwagę w kilku miejscach i powziąć<sup>73</sup> z nich wyobrażenie o duchu całości.

Dziwna to była księga; dziwna, jak stan umysłowy jej twórcy. Taż mieszanina, co w rozmowie, logiczności i bezładu, głębokiej filozofii i obłąkania, wniosków najsurowszej rozważki i zapędów rozkielznanej wyobraźni, cierpień urojonych i rzeczywistych, wiary w nadzwyczajne powołanie, gorzkich wyrzekań na świat społeczny<sup>74</sup>, przeczuć, widzeń, prorocत्व: często wzniosła, nieraz mądra, poezją ubarwiona wszędzie, cała jednak nie była niczym więcej, jak igraszką wyobraźni, obracała się głównie na jednym przywidzeniu i z niego rozwijała świat zarzeczywisty<sup>75</sup>, życie w sferach urojenia; stąd ciemna po większej części, niepojęta dla umysłów niewtajemniczonych. Głównym jej przedmiotem były sprawy państwa, porządkiem dziennym zapisywane: znalazłeś tam prawa, postanowienia, urzędy, protokoły narad gabinetowych, stosunki z innymi podobnego rodzaju mocarstwami, wojny, przymierza, traktaty; obok nich czytałeś sprawy dotyczące osoby Machnickiego, jego pożycia codziennego z ludźmi, z przyrodą; z tego względu był to rodzaj dziennika, który obejmował najdrobniejsze szczegóły życia, najmniejszą czynność myśli, przygody, uwagi wszelkiego rodzaju, pomysły, marzenia, powiastki, wszystkie prawie z niezwykłych źródeł i dotyczące przeszłości królestwa, nawet poezje. Ale klucz do zrozumienia wszystkiego miał tylko Machnicki. Była to kronika świata, który on sam sobie stworzył z żywiołów jemu tylko wiadomych i zaludnił istotami, którym, jak pierwszy człowiek, nadał swoje nazwiska<sup>76</sup>. Weszło w ten świat wszystko, co należało do obrębu zamczyska, dało się przeczuć w jego głębiach lub miało z nim bezpośrednią styczność: ziemia, woda, skały, kwiaty, murawa, samo powietrze, wszystkie przypadłości światła i cienia, pogody i niepogody. Wszystko, aż do kropli rosy, zwało się, żyło, miało swój stosunek z całością, swoje w niej posłannictwo: wszystko związane było w ogół kraju

Książka

<sup>70</sup>kilkanaście — w oryginale *kikanaście*.

<sup>71</sup>jak żeby — jak gdyby.

<sup>72</sup>nadzwyczajnej mojej przychylności — w wyd. z r. 1870 brak ostatnich trzech słów.

<sup>73</sup>powziąć — w pierwodruku: *powziąć*.

<sup>74</sup>społeczny (daw.) — współczesny.

<sup>75</sup>zarzeczywisty (daw.) — nierzeczywisty.

<sup>76</sup>nazwisko (daw.) — nazwa.

i narodu. Ten kraj rozdrobiony był na podrzędne podziały; nieraz jeden głąz, jedno drzewo, stanowiły prowincję. Pory roku, niebieskie światła, zmiany powietrza, występowały tam jak mocarstwa przyjazne państwa Machnickiego, miały swoje nazwiska, prowadziły z nim wojny mrozem, skwarem, niepogodą, staczały bitwy wichrami, burzami, piorunami. Kości, szkielety, składały wojsko państwa i dwór królewski. Cokolwiek mogło jakiś dźwięk wydać, śpiewało mu jak muzyk, jak poeta, rozmawiało z nim; dostrzegłem w kronice niejednej pieśni, przepisanej z ust skowronka, kruka lub skrzypiącego drzewa, niejednej powieści, którą wygadał jakiś wiatr, wzdychający samotnie wśród gruzów, jakieś źródło, szepczące<sup>77</sup> z kamykami — a ten wiatr, to źródło opisane było we wcieleniu fantastycznym, wymienione po imieniu. Co tylko poeta zdoła wymarzyć najniwyraźniej, Machnicki odział to w kształty, ożywił, związał w jeden ogół, zamienił w świat rzeczywisty dla siebie i w ruch działania puścił. Takiego tylko mogłem nabyć pojęcia owej kroniki; raz, że miałem przed sobą tylko tom piąty, potem, że go przebiegałem z wielkim pośpiechem, na koniec, że jeszcze i w tym tak pośpiesznym czytaniu miałem roztargnienie. Przyczyną mojego roztargnienia była dziwna scena za proporcami, widać scena wstępna do posuchania. Dotąd nie umiem jej sobie wytłumaczyć, ale słyszałem to głośną rozmowę Machnickiego, to jęki jego przytłumione, to łoskot jakby biczowania się, to brzęk licznych dzwonek, przeplatane długą, głęboką ciszą.

Nagle rozsunęły się proporce i odsłoniły wnętrze framugi, nieznaney mi dotąd. Ściana jej była czymś czarnym powleczonea; w głębi, przy samej ścianie, na wprost otworu, stał krzyż czerwony takiej wielkości, że końcami ramion dosięgał ścian pobocznych, a wierzchołkiem okna, mającego tenże kształt, co dwa powyżej opisane, i umieszczonego na tejże samej wysokości. Na środku było podniesienie z wielkich głązów, gdzie stało obszerne krzesło, powleczone gdańską skórą z ledwo dojrzanymi śladami złocistych wzorów, przed krzesłem stał niewielki stolik, na nim leżał kosztur<sup>78</sup> niezgrabnie wyrobiony i różga brzożowa, po obu stronach stolika dwa krzesła mniejsze, a wszystko w smaku sprzętów, jakie dziś jeszcze widzieć można po starych naszych zamkach.

Machnicki stał między stolikiem a wielkim krzesłem. Odziany był suknią zrobioną krojem hiszpańskim z latek rozmaitej barwy; na głowie miał czapkę z podobnych latek, okrągłą, spiczastą, ubraną w błyskotki i dzwonki, krótko mówiąc, taką, jaką dawniej trefnisie<sup>79</sup> nosili; nadto otaczał ją na czole uwiedły wieniec z gałązek dzikiej róży. Nie mniejszą zmianę, jak w stroju, postrzegłem w Machnickiego obliczu. Pogodne przedtem, dobroduszne, przybrało teraz jakiś dziki wyraz gniewu, ponurej surowości, wewnętrznego cierpienia, a nawet obłąkania, wyraźniejszego jak zazwyczaj. Ubiór zapewne niemało przyczynił się do tej zmiany, ale po większej części wychodziła ona z wewnątrz. Przykrym, niewysłowionym uczuciem przejął mnie ten widok. Krzesło tak przytykało do samego krzyża, że stojący w tej chwili Machnicki wydawał się, jakby spoczywał na krzyżu. Był to widok zarazem dziko-malowniczy i pełny jakiejś bolesnej tajemniczości, zwłaszcza kiedy dodamy strój osoby i czarne tło całego obrazu.

Dał znak ręką, abym się zbliżył, i przemówił głosem zrazu uroczystym, ale widocznie przytłumionym, który wkońcu zamienił się w ton szyderyczy:

— Otóż na koniec widzisz króla zamczyska! Widzisz go w całym przepychu królewskiego majestatu, w całej nagości.

— Oto jest purpura! to korona, a tu berło! Patrz! azaliż nie królewskie? Patrz więc, i śmieć się!

To mówiąc, zaśmiał się śmiechem tak dzikim, jak tylko być może najbardziej wymuszony z bolejącej piersi, rzucił się na krzesło całym ciężarem ciała, kręcił się po nim jakiś czas, porwał miotełkę, zgrzytnął, uderzył się nią po wieńcu, jęknął głęboko, ale w tejże chwili zaczął się uspokajać, jak żeby<sup>80</sup> przychodził do upamiętania<sup>81</sup>, i utkwiał we mnie wzrok, więcej zdziwiony, jak obłąkany, widocznie spokojniejszy.

— Jak to? Ty się nie śmiejesz? — mówił znowu powoli, powtórzył to samo i uciął. — A toż przecie purpura królewska, ten serdak trefnisia; a ta korona? Któż by w niej

<sup>77</sup>szepczące — w wydaniu z r. 1870: szepczące.

<sup>78</sup>kosztur, właśc. kostur — 1. kij (laska) służący do podpierania się; 2. drąg rozbijający twardą ziemię.

<sup>79</sup>trefniś — błazen.

<sup>80</sup>jak żeby — jak gdyby.

<sup>81</sup>upamiętanie — dziś: opamiętanie.



poznał koronę Chrobrych? Co za hańba? Co za hańba! — zasłonił oczy ręką, spod ręki wytoczyło się kilka łez. Odstłonił oczy, a na twarzy nic już nie było oprócz głębokiego rozrzewnienia.

— Ale nie moja w tym wina, nie moja. Sam się przekonasz, kiedy ci opowiem. Dlatego wprowadziłem cię tutaj i wszystko odkryłem. Przyrzekłem ci posłuchanie królewskie: chcę spełnić moje przyrzeczenie. Siadaj i słuchaj.

Usiadłem na kamieniu zewnątrz otworu framugi, a Machnicki od tych słów zaczął swoją powieść:

— Podniosłem ci niejedną zasłonę moich tajemnic, muszę teraz powiedzieć ostatnie ich słowo. Leży w nim cała historia mojego życia. Wyspowiadam się przed tobą, jak dotąd przed nikim, jak zapewne przed nikim już spowiadać się nie będę. A robię to nie z samej potrzeby mojego serca, ale dla korzyści mojego państwa, dla dobra czyjegoś, choć on dotąd niegodny; zresztą, Bóg z nim; nie mnie dano sądzić go ostatecznie. Słuchaj więc mojej powieści. Będzie ona długa, może nieporządna, jednak nie przerywaj. Nie przerywaj mi, choćbym według ciebie najnieznośniej bredził. Nie ostrzegaj mnie. Mam ja w głowie ciąg myśli mnie właściwy: tego pasma nigdy się nie puszczać. Zresztą jest coś, co mnie ostrzeże — i dotknął ręką swojego kołpaka.

Przestawszy w tym miejscu, zamyślił się, spuścił czoło, zaczął być niespokojnym, widocznie szukał myśli, nareszcie poprawił się w krześle i mówił:

— O! ten początek zawsze mi najcięższy. Najtrudniej mi przenieść się w tę powszednią przeszłość, schwycić koniec jej nitki najtrudniej. Jest ona dla mnie jak sen coraz niewyraźniejszy; ale mam ją wreszcie.

— Trzeba ci wiedzieć, że i ja byłem kiedyś człowiekiem jak wszyscy ludzie: mę-  
żem, ojcem, sąsiadem, szlachcicem, urzędnikiem, dobrym nawet urzędnikiem; po całych dniach, a czasem i nocach, siedziałem nad rachunkami. Ja myślę, że to był sen tylko: dzisiaj nie potrafiłbym najprostszego dodania. Ale wtedy! o! wtedy nie wołano jak dzisiaj, gdzie się obróć: wariat! wariat! nie patrzano z litością, z szyderskim uśmiechem, jak na wariata, jak dzisiaj. Miałem rozum, bo byłem wariatem, jak wszyscy ludzie: nie mniej, nie więcej; nie odróżniałem się od nich, uchodziłem więc za porządnie rozumnego. Wszakże powinienem oddać sobie tę sprawiedliwość, że wiecznie nosiłem w sobie zaród mojej wielkości i przeczuwałem ją, i dążyłem ku niej, chociaż bardzo powoli z początku. Jakiś pociąg osobliwy, niepojęty mi dawniej, przywiązywał mnie do tych murów od niepamiętnych czasów. Było to coś na kształt przecucia miłości, a potem... pierwszego jej objawienia się, a potem... zwirowania z miłości.

Wymawiał to powoli, z namyśleniem się, na ostatku zadrżał, dzwonki zagrały, a on mówił dalej:

— Nasamprzód<sup>82</sup> z daleka lubiłem patrzeć na zamek. Nie wyglądał on tak dziko, jak teraz; stał prawie cały, prawie cały zamieszkały. Wieczorami błyszcząły światła z jego okien, we dnie dymy snuły się z kominów; bramy odmykały się i zamykały; szczekały psy, piała koguty; śpiewano, śmiano się, żył pełnym życiem obecności, a dla mnie... żył nadto życiem przeszłym. Miałem już wówczas widzenia przeszłości, ale jeszcze ciemne; wystarczało mi z daleka patrzeć na zamek. Tęskniłem jednak jak do największego szczęścia, żeby w nim mieszkać — i było coś, co mi ciągle szeptało: będziesz w nim mieszkał.

— Zdarzyło się, że musiałem porzucić na jakiś czas te strony. To oddalenie dopiero przekonało mnie, że byłem zakochany w zamku. Tęskniłem za nim jak za kochanką. Co noc we śnie go widziałem, niekiedy z całym urokiem<sup>83</sup> kobiecej piękności. Czy ty uwierzysz temu?

I zamilkł z widoczną chęcią, abym odpowiedział.

— Dlaczegoż nie miałbym uwierzyć? — rzekłem. — Jakaż inna miłość, jeżeli nie podobna do tej, prowadzi tysiące na śmierć, dla ojczyzny na przykład? Odbiera spokójność, wesołość, rozum, życie? Tylko że na pozór jej przedmioty różne. Jeden ukochał swoje góry, drugi swoje wody, ten pałac, tamten chatkę; ale biorąc rzeczy głębiej, każdy z nich ukochał anioła, ducha swojego narodu, który mu się przedstawia zmysłowo, niby w symbolu określonym, najstosowniejszym do jego usposobień i pojęć.

<sup>82</sup>nasamprzód (daw.) — najpierw.

<sup>83</sup>z całym urokiem — w pierwodruku: za całym urokiem.

Pogarda, Szaleństwo

Tęsknota

Miłość, Ojczyzna, Naród

Ofiara

W miarę jak mówiłem, Machnicki wyciągał rękę i przytwierdzał skinieniami, a kiedy skończył, uderzył w stół i zawołał.

— Mówisz zupełnie tak, jak ja czuję. Ale niestety! — zawołał znowu po krótkim przestanku — dlaczegoż tyłu jest, którzy nie czują tego ducha pod powłoką symbolu i przywiązują się tylko ciałem do ciała. Kochają swój dom, bo ładnie zbudowany, dobrze opatrzony, wygodny, własny; kochają swoją wioskę, bo z jej dochodów mogą dobrze jeść, pięknie się ubierać, wesołe życie prowadzić, robić w niej, co się podoba i — miękko zasypiać; kochają swój kraj, bo kraj jest dla nich to samo, co wioska.

— Nie taką miłością pokochałem ja zamek; Bóg mi świadkiem, nie taką: bo i cóż miałem z niego lub mieć mogę dla ciała? Pokochałem go, że w nim było tyle życia, tyle szczęścia dla wszystkich, a ludzie nazwali to obłąkaniem.

Wzruszył się, dzwonki zagrały, to go uspokoiło, wrócił do powieści.

— Tęskniłem więc, i coraz mocniej. Nie mogłem przemóc owej tęsknoty, zwłaszcza że przybył jej w pomoc niepokój smutnego przeczucia. Urwałem liche interesa i wróciłem. Nie darmo tęskniłem, nie fałszywie przeczuwałem.

— Zamek opustoszał, począł nawet upadać w niektórych częściach. Smutne, okropne wrażenie zrobił na mnie ten widok. Ale też odtąd jeszcze mocniej zacząłem przywiązywać się do mojego zamku; zacząłem wchodzić z nim w znajomość jeszcze bliższą<sup>84</sup>. Dusza coraz wyraźniej ku niemu lgnęła; przeznaczenie ciągnęło mnie ku niemu coraz częściej. Po całych dniach przypatrywałem się jemu, całe nieraz noce w nim przepędzałem, i nie miałem już ze strony ludzi żadnych przeszkód. W końcu zaznajomiłem się z najskrytszym zakątkiem. A kiedy nie mogłem być w nim albo nań patrzeć, to miałem obraz jego w głowie, jak wyciśniony<sup>85</sup> na mózgu. Z porządku rzeczy reszta świata poczęła mnie coraz bardziej nudzić. Nie znajdowałem już rozrywki, tylko w książkach, a między książkami jedynie w starych kronikach. Czytanie kronik robiło na mnie skutek, jaki robi na zakochanym czytanie romansów<sup>86</sup>. Każdy szczegół dziejów, każda chwała, każda klęska, zmierzały do mojego zamku, jak promienie do jednego ogniska. Cokolwiek było pięknego w przeszłości, to go ozdobiło; co było okropnego, to zawisło jak zasłona żaloby na jego wdziękach.

— Tym sposobem zamknąłem w nim całą przeszłość<sup>87</sup>, całą przeszłość w nim uosobiłem. Ale miałem jeszcze rozum. Przynajmniej ludzie uważali mnie jeszcze za rozumnego. Nie widzieli mojej duszy: wstydzilem się ją odkryć. Czy uwierzyłbyś temu, że się wstydzilem mojego stanu duszy? Do tego stopnia byłem kiedyś powszedni, słaby, głupi. Co gorsza, wyrzucałem sobie nieraz to uczucie, walczyłem z nim, chciałem je zniszczyć. Na szczęście moje, postanowienie to za późno mnie napadło. Jednak wdzięczny mu jestem, ono przyspieszyło chwilę stanowczą. Opowiem ci teraz ten wypadek, najważniejszy w moim życiu, ten triumf mojej królewskiej przyrody.

Opanowała mnie właśnie jedna z chwil owego wahania się i głupiego postanowienia. Poszedłem za jej popędem i zabrałem się szczerze do moich urzędowych rachunków. Nie wiem, skąd wy dobyłem z siebie tyle siły; nie wiem, jakim sposobem znalazły się jeszcze myśli nie podbite od mojej miłości, że na czas jakiś ustąpiła im zupełnie i zostawiła liczbom wolne pole. Interes urzędowy był pilny, praca trudna i długa. Przejąłem się całą ważnością mojego urzędu. Trzy dni i trzy noce pracowałem, z małymi przerwami dla jedzenia i snu. Przez cały ten czas liczbami tylko myślałem, tak, że w końcu wszystkie myśli zamieniły się w liczby; liczby układały mnie do snu i budziły, na jawie jak we śnie liczby latały przed oczyma, w którąkolwiek stronę oczy obróciłem. Nic nie słyszałem, nic nie widziałem dokoła siebie, oprócz przedmiotu mojego zatrudnienia. Aż w końcu... pamięć-

Zamek, Upadek

Przemiana, Praca,  
Urzędnik, Wizja

<sup>84</sup>*Ale też odtąd jeszcze mocniej...* — W wydaniu z r. 1870 w ostatnich dwóch zdaniach, widocznie przez omyłkę, opuszczono niektóre wyrazy, i powstał taki dziwoląg: *Ale też odtąd jeszcze mocniej zacząłem wchodzić w znajomość z nim jeszcze bliższą*.

<sup>85</sup>*wyciśniony* (daw.) — wyciśnięty, odcisnięty.

<sup>86</sup>*czytanie romansów* — zobacz *Wstęp III: Wpływ poezji mickiewiczowskiej*.

<sup>87</sup>*całą przeszłość* — w wydaniu z r. 1870, widocznie przez omyłkę, wydrukowano: *całą przyszłość*. Trudno przypuścić, żeby sam poeta świadomie dokonał tej zmiany, gdyż sprzeciwia się jej sens całego poprzedzającego ustępu. Wprawdzie o parę stron niżej Machnicki powiada o sobie: *Jak na dłoni ujrzałem całą moją przeszłość, objąłem ją jednym spojrzeniem, a całą przyszłość w jednej tylko postaci, w postaci zamku*, ale odnosi się to do innej chwili, już po przełomie, który w nim nastąpił, i nie chodzi tu o przeszłość i przyszłość narodu, ale własną Machnickiego.

tam całą scenę, jakby się powtarzała w tej chwili; odtąd wszystko już dobrze pamiętam. Było to trzeciej nocy, bardzo późno, może w godzinę po północy. W okna bił deszcz ze śniegiem i wiatr preraźliwie zawodził. Zresztą wewnątrz domu cicho, jak żeby<sup>88</sup> wszystko umarło. Czulem wycieńczenie z pracy; zdawało się, że siły ostatnie mnie opuszczają. Nie przestawałem jednak pisać, ale głoski i liczby wiły się po papierze, zrywały się spod pióra, krążyły w oczach jak rój owadów; wiersze całe snuły się w różnych kierunkach, jak te wstążki ognia, kiedy dziecię rozżarzonym łuczywem w różne strony macha. Straciłem z oczu świecę, zgadywałem tylko jej pałanie po nagłych, przykrych zmianach, to rażącego blasku w ciemność, to ciemności w blask. Naraz całe pisanie zerwało się z papieru, uderzyło na mnie z szumem i wściekłością pszczoł rozdrażnionych<sup>89</sup>, obsypało mnie całego, wgryzało się w oczy, dzwoniło w uszach, osiadało na mózgu. Chciałem się porwać — upadłem nazad na krzesło bez siły; w tej chwili zupełna ciemność zaległa pokój; powieki spadły na oczy same z siebie, jak skrzydła postrzelonego na śmierć ptaka.

— Było to tylko omdlenie? Wątpię. Utraciłem siły, ale nie przytomność. Widziałem, co się dzieje, gdzie jestem. Czulem dokoła siebie i preraźliwą ciemność, i martwą ciszę uspiętego domu: deszcz ze śniegiem bił w okna, wiatr preraźliwie zawodził. Mimo to rozplywałem się duszą w niewymownie lubym stanie jakiejś spokojności, swobody, uciechy, o których dotąd nie miałem wyobrażenia. Cóż by to było? Jak sądzisz?

— Właśnie powiadają — odezwałem się — że zwykle podobne uczucie towarzyszy omdleniu z powolnego osłabienia.

— Ale czy omdlenie może zostawić tak wyraźną pamięć przeszłości i wiedzę obecnego stanu tak zupełną? Czy można w omdleniu śnić tak jasno, żyć tak zwyczajnym życiem?

Odpowiedziałem, że tego rozwiązać nie potrafię.

— I nie ma potrzeby, jak dla mnie, łamać sobie nad tym głowy — mówił znowu Machnicki — gdyż jestem pewny, że ów stan był czymś ważniejszym jak zwyczajną słabością, jak omdleniem. Wiedz o tym, że wtedy zgasł i umarł we mnie dawny człowiek, a narodził się nowy<sup>90</sup>. Ciekawa to była chwila, kiedy przechodził granicę dwóch czasów, dwóch bytów. Jak na dłoni ujrzałem całą moją przeszłość, objąłem ją jednym spojrzeniem, a całą przyszłość w jednej tylko postaci, w postaci zamku, ale jakiego zamku!...

Zatrzymał się znowu, jak żeby<sup>91</sup> się namyślał.

— Nie! — rzekł. — Gdyby mi nawet wolno było odsłonić komukolwiek ten obraz, nie znalazłbym na to wyrazów w dzisiejszym naszym języku. Dostyc powiedzieć, że kiedy ujrzałem obok niego życie moje przeszłe, wszystkie jego prace, troski, żądania, nadzieje, plany: zaśmiałem się nad nim, jak nad niewinnym głupstwem, z całego serca. Ten śmiech rozległ się w mgnieniu oka tak dokoła, z taką siłą, jak żeby cały świat sobą zapełnił, jak żeby mi odpowiedział śmiech całego świata.

— Ale nie była to radość. W tym śmiechu zaczęła się nowa moja przyszłość, moja wielkość, moja męczarnia. Bo różne są rodzaje cierpienia dla ludzi. Ten z za krat więzienia musi patrzeć na niebo, wiecznie to samo dla złych i dobrych; tamten, przykuty do taczki podziemnej roboty, dźwiga dzień i noc trupa myśli, której swoje życie poświęcił; temu tortury łamią kości, nie mogąc złamać ducha; temu każą z krzyża obejmować rękami ten świat, który sercem ogarnął; temu przeznaczono każdy śmiech nieprawości bolesną łzą odkupywać; ale są inni, których postawiono światu na cel, aby szyderski uśmiech przeszył w nich każdą myśl kochającą, każde uniesienie poświęcenia, i nadto kazano im samym śmiać się z tego, co właśnie bóle śmierci przynosi. Cierpieć dla wszystkich i konać wśród śmiechu wszystkich, a często własnego, to nie lżejsze od innych tortur.

Dreszcz mimowolny całego ciała przerwał w tym miejscu Machnickiemu, ale zdaje się, że głos poruszonych dzwonek przywołał go do porządku, bo znowu natychmiast zaczął:

— Otóż, zaledwem się zaśmiał, kiedy usłyszałem dokoła siebie niby jego echo, i dźwięk,

<sup>88</sup>jak żeby — jak gdyby.

<sup>89</sup>uderzyło na mnie z szumem i wściekłością pszczoł rozdrażnionych — Prawdopodobnie obraz przedstawiający „szum i wściekłość pszczoł rozdrażnionych” tak przypadł do artystycznej wyobraźni Słowackiego, iż odtworzył go, zapewne nieświadomie, w *Królu Duchu*, naturalnie z różnymi zmianami, w rapsodzie o Bolesławie Śmiałym.

<sup>90</sup>umarł we mnie dawny człowiek, a narodził się nowy — słowa te przypominają napis z *Prologu* III części *Dziadów*: *Gustavus obit... Natus est Condriatus*.

<sup>91</sup>jak żeby — jak gdyby.

Przemiana, Wizja

Śmiech

Cierpienie, Zło, Niewola,  
Ofiara, Krzywda

Wizja, Błazen

List

jak żeby wiatr gwałtowny zatrzęsł oknem. Otworzyłem oczy, zwróciłem się ku oknu, i ujrzałem w nim wielką światłość, niby od pożaru, a w tej światłości postać, ubraną jak nam opisują ubiór dawnych trefnisiów, jak zresztą mnie dzisiaj widzisz, z małymi odmianami. Pojąłem wtedy, skąd pochodził śmiech i dźwięk. Nie skończyłem jeszcze tej uwagi w duchu, kiedy postać dmuchnęła ku mnie po dłoni i znikła.

— Okno zamknęło się z nowym dźwiękiem, kiedy niekiedy zagwizdało wiatrem, jak coraz dalszym chichotem, a blask, co bił przez nie, w tej chwili zagasł całkiem. I wszystko znowu było jak wprzód. W całym domu cichość, po ścianach pluska deszcz ze śniegiem, i świeca znów gore. Rzuciłem okiem na stół: widzę, na papierach czerwieni się jakiś listek; biorę go, zapisany; czytam, bilecik:

— Panie Machnicki! Zamek w niebezpieczeństwie. W tobie jednym jego nadzieja. Przybywaj, jak możesz najprędzej. Czeka cię królestwo. Tylko spiesz się. Twój sługa i przyjaciel: Stańczyk.

— Ten list chowam dotychczas jako najdroższą pamiątkę nowego mojego życia. Jest to niejako dyplom<sup>92</sup> mojej królewskości. Powinieneś go widzieć.

To mówiąc, odemknął wiszący na jego piersiach medalion, kazał się zbliżyć, i podał mi z uszanowaniem nic innego, tylko uwiędły czerwony listek<sup>93</sup>, stoczony w połowie przez owady. W pozostałych nitkach włókien można było wprawdzie dostrzec jakichś fantastycznych znaków, ale nie było żadnego podobieństwa do pisma. Czuł to zapewne sam Machnicki, gdyż się odezwał:

— Pisanie to nie dla wszystkich. Trzeba być wtajemniczonym w moje państwo, żeby je odczytać; niemniej przeto pojętne dla mnie i drogie.

Oświadczyłem zupełną wiarę w to, co mówi, oddałem listek na powrót, a on, schowawszy go, tak dalej prowadził swoją powieść.

— Treść listu przerażała mnie niewymownie. Pewny byłem, że w zamku pożar: wprowadziła mnie na tę myśl niezwykła jasność, którą przed chwilą widziałem. Nie rozmyślałem długo, nie wahałem się, wyskoczyłem przez okno, wpół rozebrany, jak byłem, i biegłem do zanku pomimo ciemności i słoty. Przybywam na koniec, nie widzę żadnej zmiany, żadnego niebezpieczeństwa. Miałżeby<sup>94</sup> to być figiel trefnisia? Chciałem się gniewać, chciałem zrazu natychmiast powrócić, ale bieg nadzwyczaj szybki wyczerpał ze mnie wszystkie siły. Nie mogłem dłużej ustać, mimowolnie padłem. W tej chwili zdało mi się, że ujrzał Stańczyka, skaczącego wierzchem murów ze śmiechem diabelskim. To zgniewało mnie do reszty. Postanowiłem zrobić figiel za figiel i nie ruszyć z miejsca, choćby mi tam przyszło umrzeć z głodu. I dotrzymałem. Dwa dni z zamku nie wychodziłem, dwa dni żadnego nie wzięłem posiłku. Osłabłem na śmierć. Na drugą noc zawlokłem się do baszty, i tam postanowiłem przyjąć, cokolwiek mnie spotka. Snu nie miałem, gorączka coraz większa ciągle mnie rozbudzała; marzyłem<sup>95</sup> tylko, i dlatego widziałem wszystko, co się koło mnie działo. Widzieć nie mogłem<sup>96</sup>, już to dla ścian, już dla nocnych ciemności, słuchem jednak byłem ciągle wśród dziwów owego czasu. Niewyraźnie, prawda, i może nie wszystko słyszałem, bo nieustające burze, wiatry, szum, ulewy, szalały, jakby umyślnym zaklęciem wywołane; ale to, co słyszałem, mogłoby rozsadzić każde ucho. Jakieś gwary, krzyki, jęki, jakiś ruch i krzątanie się całych tłumów, to znowu tętent pojedynczych kroków, to na ziemi, to gdzieś pod ziemią; ale tego wypowiedzieć niepodobna, a jeszcze może niepodobniej w to uwierzyć. Mnie samemu zdawało się czasem, że w tym wszystkim nie ma nic oprócz gwaru drzew, igraszki wiatrów, jednym słowem, zjawisk powietrza, miotanego zwyczajną burzą; później dopiero przekonałem się, że to była rzeczywistość, o której wtedy nie miałem jeszcze wyobrażenia. Tylko też pamięć na słowa listu pomogła mi przetrwać ów stan nieznośny. Wiły się one ciągle pomiędzy wszystkimi myślami, a w miarę tego, jak wracały uporniej, zamieniły się w wiarę, i w końcu zostały jedną myślą wyraźną, skupioną, potężną, która już wtedy zaczęła pokrzepiać moje siły

Obowiązek,  
Niebezpieczeństwo

Wizja, Szaleństwo,  
Poświęcenie

<sup>92</sup>dyplom — w pierwodruku: *dyplomata*.

<sup>93</sup>uwiędły czerwony listek — o podobieństwie Machnickiego do Gustawa z *Dziadów* patrz we *Wstępie* rozdział III: *Wpływ poezji Mickiewiczowskiej*.

<sup>94</sup>miałżeby to być — czyżby to miał być.

<sup>95</sup>marzyłem — w pierwodruku: *mrzyłem*.

<sup>96</sup>widzieć nie mogłem — trzeba dla usunięcia sprzeczności domyślać się słówka „naprawdę”: Widzieć naprawdę nie mogłem.

moralne i podnosić ducha nad ciało. Obojętnie począłem na śmierć patrzeć; byłbym już umarł z myślą królewską.

Tak nadeszła chwila, która ostatecznie miała rozjaśnić, co dotąd było jakby niewyraźnym przecuciem. Spałem, czy nie spałem, tego dobrze nie wiem, kiedy mnie coś gwałtownie za rękę targnęło. Otworzyłem oczy i ujrzałem przed sobą tę samą postać, którą w oknie widziałem, jednym słowem: Stańczyka. Trzymał w rękę latarnię, mocno był pomieszany, łzy nawet miał w oczach.

— Wstawaj — zawołał — i chodź czym prędzej. Nie mamy chwili do stracenia. Czeka cię posłuchanie królewskie. Za chwilę zostaniesz królem. — Wstawaj!

— Na te słowa uczułem w sobie znowu dawne siły. Porwałem się równymi nogami; przebiegliśmy szybko dziedziniec zamkowy, kilka pokojów, i stanęliśmy w głównej zamkowej sali. Leży ona dziś w gruzach od dawna. Później, przy sposobności<sup>97</sup>, pokażę ci miejsce po niej. W sali uderzył mnie widok nieznany, niesłychany. Wyobraź sobie zebranych w jeden tłum wszystkich naszych monarchów, począwszy od nieznanego nawet dziejom: z żonami, z dziećmi, z całymi rodzinami, w koronach, w purpurach monarszych, w całym przepychu mocarzy namaszczonej najwyższą władzą, w promiennym blasku tyłu imion wiecznych, w czarodziejskim uroku piękności tyłu królowych. Martwe malowidło podobnego zgromadzenia już by ci wyrzuciło duszę z kolei zwyczajnego stanu, a dopieroż widzieć to wszystko żywe. Nie dziw, że można zwariować po takim widzeniu, nie żał zwariować, żeby mieć takie widzenie. Sam to przyznasz.

— Wszakże, mimo olśnienia od podobnego widoku, przelotny rzut oka wprawił mnie w niespokojne podziwienie, w stan żalu, pomieszanego z przerażeniem. Wszystko tam było w niezwykłym ruchu, na niektórych twarzach widziałeś rozpacz; stąd odzywały się męską pierśią przekleństwa, tu słyszałeś łkania kobiet; inne modliły się, klęcząc i łamiąc ręce w milczeniu. Wyobraź sobie dom w pożarze, a mieszkańcy ratują, co mogą, i uciekają; albo jeszcze lepiej: dom napadniony<sup>98</sup> przez zbójców. Tak tam było w owej chwili. Jeden tylko mąż zdawał się panować całemu temu nieładowi. Siedział on w głębi sali, na wielkim głazie, z ponurą, ale męską rezygnacją. — Uzbrojony był dawnym rycerskim obyczajem od stóp do głów. Przy nogach leżał szyszak, otoczony koroną; opierał się<sup>99</sup> na wielkiej szabli, a obok miotełka brzoźowa. Białe miał włosy, jak puch białego gołębia, a twarz... podobną widywałem na obrazach Bolesława Chrobrego.

— Ku niemu szliśmy prosto. Ukląknęłam mimowolnie przy jego kolanach; z uprzejmym wyrazem położył mi rękę na ramieniu i, pamiętam jak dzisiaj, w te mówił słowa:

— Wezwaliśmy cię, synu, w ważnej sprawie. Za chwilę porzucimy ten zamek, aby odtąd z innego już świata czuwać nad nim. Cóż robić? Jednak nie rozpaczamy; pozwolono nam zostawić następcę takiego, jakim tylko ty być możesz. I ty nim będziesz, bo naszej miłości wszystko poświęciłeś, nawet swój rozum. Odtąd jesteś królem tego zamczyska.

— Zalałem się łzami uniesienia, chciałem ucałować nogi mówiącego; ale on kazał mi się podnieść i czekać skończenia obrządku koronacji. Tymczasem wymówił imię, którego ci nie powtórzę, bo jest pod klątwą wiecznego milczenia w moim państwie<sup>100</sup>; a na to wezwanie wystąpił jeden z tłumu królewskiego, podobny strojem do Stańczyka, i zbliżył się W głębokim ukorzeniu<sup>101</sup>; na powtórny znak króla — rycerza zdjął z siebie cały ubiór i złożył go na ziemi. Król-Patriarcha zarzucił mi na ramiona serdak, na głowę włożył czapkę, i mówił:

— Oto jest królewski twój ubiór. Masz go w puściźnie<sup>102</sup> po najbliższym twoim poprzedniku. Z tą szatą wkładam na ciebie wszystkie cierpienia hańby; zamień ją w purpurę chwały. W twoje serce zamykam całą boleść tej chwili; czoło namaszczam łzami, które

<sup>97</sup>przy sposobności — w pierwodr. zapewne omyłka druku: *przy spokojności*.

<sup>98</sup>napadniony (daw.) — napadnięty.

<sup>99</sup>opierał się — w pierwodraku brak słów: *opierał się*.

<sup>100</sup>w moim państwie — odnosi się to niewątpliwie do ostatniego konorowanego króla polskiego, Stanisława Augusta. Machnicki powiada zaraz potem o nim, że był *podobny strojem do Stańczyka*, chcąc zapewne w ten sposób napiętnować jego strój cudzoziemski, francuski, niepodobny do narodowego stroju dawniejszych królów polskich.

<sup>101</sup>ukorzeniu — w wydaniu z r. 1870: *upokorzeniu*.

<sup>102</sup>puściźna (daw.) — spuściźna.

Wizja

Strach, Niebezpieczeństwo

Obowiązek, Król, Naród

dokoła widzisz, ręce uzbrajam tą miotłką mojej łaźni<sup>103</sup>, będzie ona dla ciebie berłem i mieczem; a skronie twoje — mówił, zrywając gałąź rosnącej przy sobie dzikiej róży, — opasuję tym wieńcem jak koroną, ażeby kolce jego nie dozwalały ci zasypiać na tronie. Twoim państwem te gruzy; twoją potęgą wielkość ich przeszłości, zamieniona w boleść; twoje powołanie panować przez cierpienie wśród uciechy. Tym tylko sposobem dopełnisz królewskich powinności i zdasz twoje dziedzictwo godnemu następcy.

Chciał jeszcze mówić, kiedy nagle odezwała się przeraźliwa trąba przed zamkiem; mnie się zdawało, że pastusza, ale się omyliłem, bo na jej odgłos zachmurzył się król-rycerz i zawołał:

— A więc i goniec z ostatnią wiadomością. Wszystko już skończone. Dzieci, w drogę! Do mnie zaś tyle jeszcze powiedział:

— Stańczyk wprowadzi cię na królestwo i jest na twoje rozkazy. Żegnaj nam, królu zamczyska, i panuj, jak ci zaleciłem.

— Ledwie mogłem dosłyszeć słów ostatnich, takie narzekania podniosły się w odchodzącym orszaku. Za chwilę straciłem wszystkich z oczu. Wybiegłem w ich ślady za obręb zamku. Jakiś czas zdawało mi się, że ich widzę, że słyszę bolesne ich pożegnania. Może i tak było, ale wkrótce w miejscu pozostały się tylko skały martwe, drzewa chwiejące się silnym wiatrem i różnogłose szum wichru. Okropna noc! Mało pamiętam podobnych, a żadnej takiej.

— Działo się to w roku 1815. Cały świat zajęty był rozprawami kongresowymi<sup>104</sup>; nic dziwnego, że tej nocy nie uważał, a ja tymczasem królem zostałem i doświadczyłem pierwszej boleści: część zamku upadła. Upadła wtedy właśnie, kiedy wybiegłem za nimi. Rozpoznałem jeszcze w skałach i drzewach oddalający się orszak, kiedy nagle zatrzęsła się ziemia, w głowie zadzwonił grzmot przeraźliwy, jak żeby<sup>105</sup> piorun w ucho uderzył, a całe powietrze zabielało obłokiem pyłu tak gęstym, że ledwie mogłem oddychać.

— Długo nie mogłem kroku jednego naprzód postawić. Skoro wiatr przepędził cokolwiek kurzawę, wbiegłem wewnątrz zamku; kilka pokojów zniknęło pod gruzami. Zapłakałem, ale nie byłem winien. Tylko co zacząłem panować. Od tego to czasu jestem królem. Sam teraz osądź, czy mam do tego prawo, czy jestem przywłaszczycielem, królem z przywidzenia, wariatem.

— Pierwszemu tobie tak się spowiadam. Z innymi ludźmi nie wdaję się w podobne rozmowy. Nigdy by mnie nie pojęli. Patrzą na ten zamek, a nie widzą, czym on jest; widzą, jak coraz bardziej upada, a nie wiedzą, co to znaczy; zginie zupełnie, a dla nich będzie to wszystko jedno. Ani głowy, ani serca u nich. Cóż robić z takimi ludźmi? Niekiedy dam im uczuć chłostę mojej miotłki; a oni biorą to za fantazję wariata. Do tego stopnia stracili sumienie, że nie czują nawet wstydu; śmieją się z własnej hańby, z własnej obelgi, najkrwawszej, jaką człowiekowi wyrządzić można. Powiedzą tylko: Machnicki to złośliwy wariat! i na tym kończą. Bywa, że nie mogę się wstrzymać i wołam w żywe oczy: gdybyście wy mieli więcej czucia i pojęcia, Machnicki nie byłby dla was wariatem, oddalibyście swój rozum za jego obłąkanie. Ale te wszystkie przymówki to groch na ścianę. Niepodobna też wyklądać wszystko jak na łopacie. Zresztą, możeż<sup>106</sup> być wyraźniejsze słowo, jak te gruzy? — Jeżeli one nie mają dla nich znaczenia, czegoż mają się spodziewać po brzęku słów moich?

— Poddałem się więc wyrokowi i sam cały ciężar dźwigam. Sam, własną tylko myślą, podpieram te gruzy, jak mogę. Ale są chwile, w których czuję, że upadnę wraz z nimi. One się powiększają z każdym rokiem, a myśl moja coraz słabsza, coraz bardziej ugina się pod ich ogromem. Każdy kamień pada na nią i robi w niej szczerbę; coraz mocniej cierpię, a coraz mniej jestem w stanie zaradzić złemu. Takie jest moje panowanie, taka moja królewskość!

Posępnie zwiesił głowę i milczał, nagle wstrząsnął dzwonekami, popatrzył wokoło, jak

Upadek, Historia

Pogarda, Głupota, Naród  
Szaleństwo

Król, Szaleniec

<sup>103</sup>ręce uzbrajam tą miotłką mojej łaźni — według podania historycznego, zawartego w *Kronice* tzw. Gallanona, Bolesław Chrobry sam karał swoich wielmożów w łaźni różgami.

<sup>104</sup>rozprawami kongresowymi — tak jest w wydaniu z r. 1870. W pierwodruku wydrukowano tylko: *Cały świat był zajęty rozprawami*. Stało się to zapewne wskutek wymagań cenzury poznańskiej.

<sup>105</sup>jak żeby — jak gdyby.

<sup>106</sup>możeż (daw.) — czyż może.

by przychodził do siebie po śnie przykrym, twarz jego wygładziła się uroczystą powagą, w oczach osiadła duma władzy, wyciągnął prawą rękę, jak do rozkazywania:

— Nie! — zawołał. — Nie upadnę ja tak łatwo. Jestem jeszcze królem. Cierpię wprawdzie, jak żaden król nie cierpiał; ale też używam, jak żaden król nie używał, wzniosłem się do najwyższej ludzkiej potęgi. Wszedłem w świat duchów, żyję z duchami, rozkazuję duchom. Dla mnie cała przeszłość jak obecna chwila. Przestrzeń tysiąca mil ogarniam jednym spojrzeniem. Dla mnie nie ma nic martwego w obrębie mojego królestwa. Położę rękę na głazie i czuję pod ręką bijące serce, drżenie życia poczynającego się w łonie kobiety. Dotknę się ustami listka! Listek oddaje mi ogniste pocałowanie miłości; gałąź ściska mnie, jak dziecko, gdy je matka pieści<sup>107</sup>. Kiedy przechodzę między różami, róże uśmiechają się jak dziewice i rzucają mi swoje kwiaty pod nogi; murawa, jak tłum ludu, uchyla głowy na mój widok. Każde źródło zaprasza mnie do siebie i rozprawia mi o przeszłości nieskończone dzieje. Przed muzyką moich ptaków, które mnie usypiają i budzą, niech milczą wszystkie muzyki, jakie są na świecie. Pojrzyj na te czaszki, kości, szkielety, zbroje, glazy: — to mój dwór żywy, wszystko to żywe.

— Kiedy strudzony kłopotami państwa wchodzę tu na wytchnienie, wszystko to ożywa, garnie się do mnie. Zasiadamy w koło; stare kamienie dają mi rady, rycerze gotują broń do przyszłych bitew, orzeł mierzy oczami drogę do słońca: mam przed sobą całe życie przeszłości i widzę na jej kolanach przyszłość, a dla niej zapominam o obecnej chwili, o obecnym świecie.

— Jestem król nad króle. Moje ziarno rozrośnie kiedyś na świat cały. Dlatego tak głęboko skryłem się z nim pod ziemię. O! gdybyś ty wiedział<sup>108</sup> wszystkie tajemnice tego pałacu. —

Korzystałem z kilku chwil milczenia, które po tych słowach nastąpiło, i rzekłem:

— Tajemnice te nie są zapewne dla podobnych mnie; ale sądzę, że mi wolno wiedzieć, co to jest ta jaskinia i jakim sposobem przyszedłeś pan do jej odkrycia?

— Dziwne rzeczy! Wszak prawda, że dziwne? — zawołał Machnicki. — Mogę jednakże dać jeszcze jeden dowód mojej dla ciebie uprzejmości i uchylić po części zaslonę tych jeszcze tajemnic. Słuchaj więc, jak się to stało.

Król

#### IV. DALSZY CIĄG HISTORII MACHNICKIEGO

Nim przystąpimy do dalszego ciągu powieści Machnickiego, muszę tu zamieścić uwagę, potrzebną, ażeby czytelnik lepiej schwycił charakter jego obłąkania i nie kładł na mój karb wszystkiego, co go może razić w tym opowiadaniu. Dwa stany objawiały się w nim, ile razy mówił, zwłaszcza cokolwiek przydłużej<sup>109</sup>. Czasem odbiegał głównej osnowy, jękał się, mieszał wyobrażenia, łapał wyrazy niewłaściwe, wpadał w powszedniość prozaiczną; było to wtedy, kiedy satyryczna wycieczka do obecnych czasów i ludzi sprowadziła go z toru ulubionych marzeń: gorzki smutek wówczas zwiłaj niejako skrzydła jego fantazji, zaciemniał jej gwiazdę. Lecz kiedy gnał pełnymi żaglami po zwyczajnym sobie poetycznym świecie, kiedy nie spotykał na drodze żadnego żywiołu, przeciwnego jemu, dusza jego wówczas była muzycznym narzędziem, doskonale wystrojonym, myśl jedną pieśnią, a słowo, z boku rzucone, rozpoczynało tę muzykę z innego tonu, nie psuło harmonii ogółu.

Szaleniec

W tym drugim usposobieniu właśnie się teraz znajdował. Odpowiedział więc na moje zapytanie, jak żeby<sup>110</sup> odpowiedź jego była koniecznym ciągiem tego, co dotąd mówił, jak żeby nie słyszał nawet mojego zapytania.

— Byłem — rzekł — zupełnie szczęśliwy. Wprowadzony przez Stańczyka na królestwo, postawiony przez niego u steru spraw państwa, puściłem je w ruch dalszy. Ale sprawy te potrzebowały mojej wszechobecności; osiadłem więc na zamczysku, a stolicę założyłem w dwóch nietkniętych jeszcze od zniszczenia komnatach. Urządziłem je po królewsku. Zawiesiłem całe ściany ozdobami moich marzeń, obrazami dziejów, proroczymi zasłonami. Powietrze ich dyszało tylko życiem mojego świata. Kilkanaście lat, które

<sup>107</sup>gdy je matka pieści — w pierwodruku: *co matkę pieści*.

<sup>108</sup>wiedzieć (reg.) — tu: znać.

<sup>109</sup>przydłużej — dłużej; dość długo.

<sup>110</sup>jak żeby — jak gdyby.

w nich spędziłem, były jedną królewską ucztą. Myślałem, że tam skończę, pragnąłem skończyć. Stamtąd tak blisko było mi do raju: jeden krok tylko, a byłbym w raju.

— Inaczej się stało. Ostrzegło mnie o tym jakieś przeczucie. Dziwne sny, niepojęte widzenia, znaki na ziemi i na niebie, prześladowały mnie od jakiegoś czasu bez ustanku, zapowiadały jakąś nadzwyczajną, stanowczą zmianę w moim życiu. Często wśród burzy olbrzymia głowa jak chmura kładła się nad zamkiem i lizała gruzy ognistym językiem, jak błyskawicą; niekiedy wichur wrzucił we środek poczwarną sowę i plątał jej skrzydła w mury; trzeba było widzieć, jak się po nich tłukła, aż cały zamek się wstrząsał, dopóki się nie wydobyła; trzeba było słyszeć jej wycie. W czasie piorunów dziwne jakieś jaszczurki, dłuższe od połozów<sup>111</sup>, snuły się wzdłuż murów, a przez ich skórę przezroczyście ogień przezierał, jak żeby całe ogniem były napełnione. Godzien zjawiały się nowe jakieś gady, potwory. Słyszałeś zapewne, że w pewnych śmiertelnych chorobach ciało ludzkie już na kilka dni przed śmiercią zaczyna się rozkładać w obrzydliwe robactwo. Powiedziałbyś, że zamek był w podobnej chorobie. Przeczuwałem, bolałem, nie opuszczałem go jednak. W tym stanie doczekałem się września. Niedawno to było, kilka lat temu. Miały już pierwsze dni jego. Dusza była coraz niespokojniejsza, zjawiska coraz groźniejsze. Ze świtem dnia jednego powstała niewidziana, niesłychana burza. Dwa dni trwała<sup>112</sup>. Nie wychodziłem z zamku na chwilę. Żyłem w nim jak zwyczajnie; jak zwyczajnie układałem<sup>113</sup> się do snu za nadejściem drugiej nocy. Ledwo usnąłem, posłyszałem dziwne, przeraźliwe głosy i wołanie: uciekaj! uciekaj! Obudziłem się i postrzegłem Stańczyka. Szarpał mnie za rękę i wołał: chodź! chodź ze mną! Nie możesz tu dłużej zostać!

— Dlaczego? — zapytałem.

— Za chwilę gruzy spać tu będą.

Ścisnęło mi się serce, ale zawołałem:

— Nie! Nie pójdę. To moje królestwo, ja jego król! Zginę z nim razem.

Na to Stańczyk odparł:

— Ocal się, a ocalisz królestwo. Twoje państwo większe, jak myślisz. Chodź tylko za mną.

— I wyciągnął mnie pół gwałtem. Zaledwośmy wyszli, a moja stolica runęła. W moich oczach spuścił się na jej dach ptak olbrzymi, ognistym jak piorun wężykiem; widziałem to wyraźnie; słyszałem szum, z jakim usiadł; przygniótł ją swoim ciężarem, okrył się obłokiem kurzawy ze startych gruzów i razem z nią zniknął.

— Zalałem ręce, a Stańczyk zaśmiał się. Miałem już wybuchnąć najwścieklejszym gniewem.

— No, no, uspokój się! — rzekł do mnie z najzimniejszą krwią. — Aby dusza była, znajdzie się ciało. I czegoż tu rozpaczać? Widok wprawdzie bolesny, ale nie powód do rozpacz. Wichur złamał tylko spróchniałą gałąź: pień drzewa nietknięty i żyje. Wszystkich gałązek nie ocalisz, samego nawet drzewa, o ile jest nad ziemią, nie zabezpieczysz przeciw zepsuciu, ale pilnuj korzenia, tam życie. Dlatego wprowadzę cię w inne mieszkanie; zamknę myśl twoją w nowe formy, bezpieczniejsze i właściwsze. Więcej zyskasz, jak straciłeś<sup>114</sup>.

— Chodź za mną.

— I wskazał mi to podziemie. Z czasem przekonałem się, że słusznie mówił. Jestem znowu królem, ale większym, potężniejszym, jak kiedykolwiek byłem. Prawdziwe to ziarno mojego państwa. Gdziekolwiek znajdę jego okruszynę, podnoszę ją troskliwie i składam tutaj; tym sposobem powoli zebrałem i skupiłem całe jego życie.

— W końcu przyzwyczałem wszystkich poddanych do nowej stolicy. Żyję pod ziemią takim królem, jak żyłem na ziemi. Sam prawie, własną pracą ubrałem to miejsce, jak widzisz. Zyskałem i to jeszcze, żem bezpieczny od ciekawych ludzi. Ten odsłoniiony bok jaskini tak wysoko wznosi się nad dolinę i tak jest niedostępny, że z tej strony ptaszyni tylko skrzydłami można by dolecieć do mnie. Te okna wyglądają na zewnątrz jak

<sup>111</sup>połozy — groźne węże, potwornej długości, które według ludowych wyobrażeń legły się na stepach ukraińskich. Mówi o nich Trembecki w początkowych wierszach *Zoffówki*: „a trawa bez kosy — Pokrewne Pytonowi mnożyła połozy”.

<sup>112</sup>dwa dni trwała — jest to alegoryczne przedstawienie ostatnich walk w Warszawie 6 i 7 września 1831 r.

<sup>113</sup>układać (daw.) — ułożyć.

<sup>114</sup>więcej zyskasz, jak straciłeś — Patrz we *Wstępie* rozdział: *Geneza Króla Zamczyska*.

Przeczucie,  
Niebezpieczeństwo, Wizja,  
Sen

Upadek, Odrodzenie

Nadzieja, Polska, Naród



nora sowy: nikomu na myśl nie przyjdzie, żeby mogło przez nie wyglądać ludzkie oko. Mam źródło niewyczerpane, mam zapas jedzenia dostateczny, podziemnymi przechodami<sup>115</sup> mogę dojść w różne strony, Bóg wie jak daleko. Nimi to rozpuszczam powoli życie powierzonego mi ziarnka, piszę kronikę i czekam spokojnie kresu moich rządów.

— Tak! spokojnie umrę. Robię swoje, i zrobię. Mniejsza o to, że dla świata jestem wariatem. Wolę to, niż być niepotrzebnym, niż być kamieniem. Ale i kamienie same nie są martwe. Przyjdź tylko z pełnym sercem do niego, to i on da ci swoje uczucie. I on ma przeszłość, życie; nie schodzi ze swojej drogi, wypełnia, co mu przeznaczono; a między ludźmi są zimniejsi, nieczulsi, niepożyteczniejsi jak kamień. Pochłonęli, strawili przeszłość, a przyszłości nie dadzą jednego tchnienia. Wszystko dla nich, nic drugim od nich. Rozbiorą ci starożytną budowę na progi do swoich nędznych lepierek, a nie przyłożą się do nowej, wspólnej, choćby jedną cegielką.

— Co nas to obchodzi? Alboż nie mamy gdzie mieszkać?

— Wołaj do nich: ratujcie stary zamek, to pień, z którego wyrosły dzisiejsze wasze domy; bez niego nie byłoby tych waszych mieszkań; — oni ci na to odpowiedzą:

— Albo my głupi leżć pod gruzy, żeby nas pogniotły.

— Nikczemnicy! Nie byłoby gruzów, żebyście<sup>116</sup> wcześniej byli pomyśleli o naprawie. Oni zawsze swoje: niech się wali, kiedy czas jego przyszedł. Niech się wali!...

— Czy wy myślicie, że będziecie na to patrzeć tak bezpiecznie, jak bezpiecznie patrzycie, kiedy pająk muchę dusi? Czy wy myślicie, że przeszłość, co go stawiała, nie myślała o przyszłości nic a nic? Wiecie wy o tej tajemnicy pewnych budowniczych, którzy zakładają swoje budowy nie na martwym tylko kamieniu, ale poświęcają duchowi opiekuńczemu najdroższe czasem głowy. Otóż przeszłość, budując, daje w zakład głowę przyszłości. Ten zamek na wasze głowy założony. Wy to będziecie kiedyś odpowiadać za byt jego. Nowemu czasowi potrzeba będzie tego miejsca na nowy budynek. Przyjdą robotnicy, zaczną uprzętać gruzy, będą je ciskać naokoło. Nie ufajcie w odległość. Jak widzisz górę zamkową, tak będą kiedyś lecieć i toczyć się z niej kamienie na wszystkie strony. Dostanie się od nich zarówno dalszym, jak i bliższym. Zrozumię mnie wtedy. Przyznają wariatowi rozum. Słowa wariata będą krążyły jak pieśń prorocza. Ale biada temu, kto lekceważy niemiłe sobie proroctwa i czeka niewierny z założonymi rękoma, aż je przyszłość rozwiąże.

— Przyszłość rozwiąże, tylko że drogo trzeba jej za to płacić. A jednak żal mi tych ludzi, wielki żal.

— Oni musieli ci inaczej o mnie nagadać, bo pewnie gadali; oni muszą mnie uważać jak człowieka, który już nie ma nic wspólnego z ludźmi, najmniejszego dla nich spólcucia<sup>117</sup>. Nie wierz temu, oni się mylą. Powiadają ci, że co dzień nad nimi płaczą, nawet śmiechem.

— Kiedy wejdę pomiędzy nich, w takie na przykład zebranie, jakie było wczoraj, kiedy spojrzę na tę młodzież, na te kobiety, na te dzieci, kiedy widzę ich szczerą wesołość, ich taką miłość dla siebie, nadzieje takie promienne, tyle przyszłego szczęścia w marzeniach, a kiedy pomyślę sobie... — nagle stanął, jakby się postrzegł, że miał coś nadto okropnego powiedzieć, mimo to zmienił wyraz rozrzewnienia w wyraz dziwnie gorzkiego szyderstwa i równie z nagłą zawołał: — wtedy śmieję się im w oczy, bez żadnego względu. Niech sobie tłumaczą mój śmiech, jak im się podoba. Wszystko mi jedno. Jest to może najwymowniejsze moje słowo. Jeżeli i tego jeszcze nie pojmują, nie moja wina. Wyraźne ono dla ludzi, co mają czucie głębsze jak kołyska, wyższe jak powała sypialni, przestronniejsze jak gumno<sup>118</sup>. Wyraźniejszego nie wolno mi użyć.

Na tych słowach zaszła nowa scena, która mnie wprawiła w mocne chwilowe zdumienie. Machnicki był w natężeniu uniesienia, ja w natężeniu ciekawości, kiedy nagle ściemniło się; spojrziałem w okno i postrzegłem w nim rzadkiej wielkości puchacza, z rodzaju skalnych, a w tej chwili usłyszałem kilkakrotnie grobowe jego huknienie<sup>119</sup>. Machnic-

Ojczyzna, Naród,  
Samolubstwo, Zwątpienie,  
Rozczarowanie

Ptak, Omen

<sup>115</sup>przechód (daw.) — przejście.

<sup>116</sup>żebyście — tu: gdybyście.

<sup>117</sup>spólcucie (daw.) — współczucie.

<sup>118</sup>gumno — część gospodarstwa wiejskiego przeznaczona na młócenie zboża lub na budynki gospodarcze.

<sup>119</sup>huknienie (daw.) — huknięcie.

ki porwał się z siedzenia, nawrócił ku ptakowi ucho z niespokojną uwagą, i nie bawiąc, zasunął proporce tak nagle, że nie postrzegłem się prawie, jak znowu sam zostałem.

## VII. POŻEGNANIE

Ptak nie zaraz umilkł, słyszałem kilka razy jeszcze głos jego. Nastąpiła potem głęboka i długa cisza za zasłoną, przerywana tylko odgłosem dzwonek i kroków Machnickiego. Po pewnym czasie zasłona odchyliła się i Machnicki wyszedł w powszednim już stroju.

— Daruj, daruj — zawołał, ściskając mi ręce ze szczerą uprzejmością — że tak nagle przerwałem posłuchanie. Sprawy państwa przede wszystkim, nieprawdaż? Oznajmiono mi ważną naradę, dziś jeszcze, wkrótce. Wszak słyzałeś tego ptaka? Nie bierz mi więc za złe, że się musimy rozstać. Sprawy publiczne przede wszystkim. Dziś jednak czuję bardziej niż kiedykolwiek ich ciężar. Wszakże nie ostatni raz widzimy się? Spodziewam się, że odwiedziś mnie jeszcze. Przyjdź jeszcze, przyjdź jutro. Wiele, wiele mam jeszcze do powiedzenia. Co słyzałeś, to niczym jest prawie. Daj słowo, że przyjdziesz.

Na całą tę mowę odpowiedziałem z równą szczerością, że jestem wyrozumiały na powód rozstania się, że nikt nie mógłby mi wziąć za złe tej gorliwości w dopełnianiu obowiązków, że pożegnanie go w tej chwili jest i dla mnie przykre, wszakże osładza je nadzieja powtórnego widzenia się, że je przyspieszę, o ile będzie to w mojej mocy; na koniec przyrzekłem, że jutro znowu powrócę. Po tych i podobnych im słowach pożegnania Machnicki zapalił lampę i odprowadził mnie tą samą drogą aż do otworu. Przy otworze miałem jeszcze nowy dowód jego dobrego serca, łatwo lgnącego, kiedy znalazł kogoś po swojej myśli.

— Odpocznijemy tu chwilę — rzekł — zmordowałem się trochę.

Ja jednak widziałem tylko w tym chęć pochlebną dla mnie dłuższego znajdowania się razem. Usiedliśmy na wschodach. Machnicki wziął mnie za rękę i mówił głosem malującym głębokie rozrzewnienie:

— Jak mi żal! jak mi żal, że tak krótko jesteśmy z sobą — i lzy stały mu w oczach. — Podobne chwile tak rzadkie są dla mnie; podobne spotkanie prawie nigdy. Wierz mi, mój przyjacielu, że tego dnia nigdy nie zapomnę; wiecznie bym żałował, gdyby miał być jedynym w moim życiu. To taka rozkosz znaleźć w tym świecie powszednim kogoś, co by cię zrozumiał, któremu całą duszę otworzyć można, bez obawy szyderstwa. Przyrzekłeś jednak, że wrócisz. Pamiętaj, wracaj: jutro, pojutrze, kiedykolwiek, tylko wróć. — Pamiętaj, że czekam, a czekanie to cierpienie, i wielkie czasem. Ale jeszcze chwilę możemy być razem.

Siedzieliśmy jakiś czas w milczeniu, przerwał je znowu Machnicki:

— Jaka szkoda, że musimy się rozstać. Nie wiem, co mnie tak przywiązuje do ciebie. Może — kto wie — może ty będziesz moim następcą? Ale ty zapewne śmiejesz się w duchu z tych marzeń szalonych i ze mnie.

Zdaje się, że ta uwaga wprawiła go w przykry stan duszy; umilkł na chwilę, zasępił się, na koniec przechodząc w rozrzewnienie coraz głębsze, zawołał:

— Nie śmieć się, przyjacielu, nie śmieć się ze mnie. Przysięgam na najświętsze tajemnice mojej duszy, że w tym wszystkim nie ma nic śmiesznego.

— O! gdybyś ty mógł przejrzeć mnie na chwilę, zobaczyłbyś, co to za przepaść smutku, a jakiego smutku! — tu lzy płynęły mu rzęsnym<sup>120</sup> strumieniem. — Ale ty zstąpisz znowu między ludzi zwyczajnych: słońce mojego królestwa zajdzie dla twojej duszy; owionie cię morowe powietrze zimnego rozumu; usłyszysz znowu zewsząd: co to za wariat ten Machnicki, mieć się za króla jakiejś tam kupki gruzów! A ja ci powiadam, że każdy z nich w swoim domu jest takim wariatem, tylko że nie mają królewskiej duszy, królewskich moich uczuć.

— O! gdyby je mieli, gdyby każdy z nich był Machnickim na swoim miejscu, wiesz, co by nastąpiło? Powiem ci pod wielką tajemnicą: wkrótce powstałby jeden ogromny, nieśmiertelny król<sup>121</sup> — miliony! Zapewne nie słyzałeś jeszcze o tej dynastii? A tymcza-

Rozstanie

Pogarda

Naród, Patriota, Proroctwo

<sup>120</sup>rzęsnym (daw.) — tu: obfity, rzęśisty.

<sup>121</sup>nieśmiertelny król — w pierwodruku czytamy tylko: powstałby jeden ogromny, nieśmiertelny król. W wydaniu z roku 1870 Goszczyński, chcąc rozwiązać zagadkę zawartą w tym powiedzeniu Machnickiego, do wyrazu „król” dodaje słowo: miliony, mając naturalnie na myśli wszechwładztwo ludu polskiego.

sem ona to jedynie odwiecznie tu panuje. I ja i podobni mnie byli tylko chwilowymi jej namiestnikami; ale pan prawdziwy to ona: była nim i będzie.

— O! będzie. Wiem to dobrze. Ale nie przez tych, których mieszkania widzisz dokoła po dolinach, mieszkania porządne, wykwintne; nie! nie przez tych — a sami temu winni; ale sama przez siebie, jak jest Bóg przez Boga. A wtedy kochani moi sąsiedzi, co się dzisiaj ze mnie śmieją<sup>122</sup>, zapłaczą nad sobą; sami nazwą siebie, jak mnie dziś nazywają, ubiorą się sami w moją purpurę, w moją koronę, ale za późno: co dzisiaj zasługą, potem będzie karą. Moja i podobnych mnie rola skończy się; moje tronowe ozdoby wyjdą z mody; nowy król będzie olbrzym, weźmie suknie stosowne do swojego wzrostu. Słońce mądrości i chwały milionów będzie jego koroną, przy niej reszta będzie wyglądać jak moja czapka.

— A wiesz, kiedy to przyjdzie? Na wszystko są znaki, ostrzeżenia.

— Zajrzyj do ewangelii. Chrystus dopiero wtedy zmartwychwstał Bogiem, kiedy ciało jego umarło<sup>123</sup>. Wszak tak? Resztę sam sobie wytłumacz. Ty jeszcze zobaczysz to wszystko. Część tej korony dostanie się i tobie; będzie ona tak wielka, że wszystkie głowy nakryje. Ja skończę w tej, w której cierpiałem. Ja już tylko na grób pracuję: o grób was tylko proszę. Niechaj nim będzie kupa tych gruzów, ta góra. Nie potrzeba żadnych napisów. Kto popatrzy, zaraz pozna, co w niej leży: gruz olbrzymiej myśli. Z tą myślą umrę spokojny.

— Robiłem, co mogłem; nie mogę więcej. Bóg mi świadkiem, że nie mogę. Powiedzże sam, czy mogę? Może wiesz co jeszcze? Powiedz, a zrobię.

Milczałem, odpowiedziałem lżą serdecznego wzruszenia. I w rzeczy samej, można poświęcić więcej nad to, co Machnicki poświęcił? Możnaż więcej cierpieć?

— Ale ja cię nudzę za długo, a przy tym obowiązki moje. Sam przyznasz, że obowiązki przede wszystkim.

— Żegnam cię więc jeszcze raz, do widzenia. Do widzenia! Pamiętaj, mój przyjacielu, mój bracie!

Uściliśmy się z całego serca; głaz otworu podniósł się; wyskoczyłem szybko, głaz upadł; usłyszałem jeszcze głucho westchnienie Machnickiego, jak z grobu, potem cichość dokoła i gruzy.

## VIII. ZAKOŃCZENIE

Sam tedy byłem wśród gruzów. Nie byłem sam. Cały czas spędzony w podziemiu zaległ pamięć, stał przed duszą, jak sen wprawdzie, ale jak sen bardzo wyraźny. Gdzie się zwróciłem, widmo Machnickiego zastępowało mi drogę; głos jego ciągle brzmiał w uszach; cała mowa jego, wcielona w postacie żyjące, fantastyczne, krążyła po duszy rojem marzeń dziwnych, gorzkich, coraz posępniejszych. Usiadłem na gruzach, pojrzałem<sup>124</sup> po okolicy, a cała okolica wydała mi się, jak żeby<sup>125</sup> patrzył na nią okiem Machnickiego, puściejszą, bardziej martwą jak gruzy, wśród których spoczywałem. Ścisnęło się serce, lży mimowolne stały w oczach, bolesne szyderstwo łechtalo we wszystkie uczucia, myśli urągania chwiały głową.

O nędzo czasów! — mówiłem do siebie. — I taki człowiek jest dla reszty świata niczym więcej, tylko wariatem? Świat go wyszydza, wytrąca z pośrodku<sup>126</sup> siebie, płwałby na niego, gdyby go nie sądził godniejszym litości, jak pogardy; już to najmniej, kiedy go ma za nic. A tymczasem ten obłąkaniec czuje i myśli, jak nie czuje żaden z litujących się nad nim, jak nie myśli żaden z tych, co się mają za rozumniejszych od niego.

<sup>122</sup>śmieją — w wyd. z r. 1870: *co się dzisiaj ze mnie tak naśmiewają*, poczem bezpośrednio: *ubiorą się sami* itd.

<sup>123</sup>ciało jego umarło — porównanie narodu polskiego do Chrystusa, który umarł i zmartwychwstał, jest tu niewątpliwie echem ostatnich ustępów Ksiąg Narodu Polskiego, tych mianowicie: „I umęczono Naród Polski, i złożono w grobie, a królowie wykrzyknęli: zabiliśmy i pochowaliśmy wolność.” „A wykrzyknęli głupio...” „Bo Naród Polski nie umarł; ciało jego leży w grobie, a dusza jego zstąpiła z ziemi, to jest z życia publicznego, do otchłani, to jest do życia domowego ludów cierpiących niewolę...” „A trzeciego dnia dusza wróci do ciała i Naród zmartwychwstanie, i uwolni wszystkie ludy Europy z niewoli.” „I przeszło już dni dwa; jeden dzień zaszedł z pierwszym wzięciem Warszawy, a drugi dzień zaszedł z drugim wzięciem Warszawy, a trzeci dzień wnidzie, ale nie zajdzie”.

<sup>124</sup>pojrzeć (daw.) — spojrzeć.

<sup>125</sup>jak żeby — jak gdybym.

<sup>126</sup>z pośrodku (daw.) — spomiędzy.

Chrystus,  
Zmartwychwstanie,  
Odrodzenie

Szalenstwo, Szaleniec,  
Pogarda, Pozycja społeczna,  
Rozczarowanie, Poświęcenie

Oni rozumni, a on wariat! A on jednak pojął myśl, której oni pojąć nie mogą, i całe swoje życie stosuje do niej, i każdy krok jego jest jej koniecznością nieodpartą. Na chwilę nie zboczy z tej drogi; logiczność jego aż w okropność wpada, mimo to idzie wciąż dalej. Obrął sobie zawód, przyjął powołanie, i nie wykroczy przeciw niemu, aż cały puchar do dna wychyli.

Taki obłąkaniec nie powinien być wzorem dla tłumu owych bardzo rozumnych? Nie więcejże on wart od nich? I dlaczegoż to wszystko robi? Po co to życie samotności, męczarni, poniżenia? Czy dla widoków osobistych? Czy marzy o jakiej nagrodzie osobistej?

Nie! pełni swoją powinność, jak drzewo rośnie, jak kwiat kwitnie, jak słońce świeci: — dla drugich, nie dla siebie. Ale w oczach powszedniego świata to właśnie jest dowodem obłąkania.

O! gdybyście wy wszyscy takiego pomieszenia dostali, ludzkość byłaby mędrsza, szczęśliwsza, niż jest dzisiaj. Na korzyść pojedynczych rozumów rozerwaliście mądrość ludzkości, rozbiliście na miliony bryzgów jej słońce, rozgrabiliście jego okruchy, zniszczyliście wzajemne ich powinowactwo, a przez to odebraliście każdej cząstce jej blask i ciepło, które wzajemnym tylko zasilaniem się mogą trwać i działać: odebraliście im cały przymiot ich nadziemskości<sup>127</sup>.

Wy się o to nie troszczycie: wy chcecie, aby te światła były tylko narzędziami waszych osobistych celów, aby tylko służyły waszym potrzebom, aby im tylko wystarczały, a wasze cele, wasze potrzeby są tak drobne, tak ciasne, tak poziome, że się obejdują bez niebieskiego światła i życia; ale jak długo się obejdują? Zobaczymy<sup>128</sup>.

Chciałem wyjść na koniec z tak niemiłego stanu i rozpogodzić umysł wycieczką w okolice; zerwałem się, popędziłem bez celu między góry i lasy; ale świeża nawałnica tak popsuła drogi, rozmoczyła ziemię, że każdy krok po śliskim i grząskim błocie drażnił jeszcze bardziej wewnętrzne rozjątrzenie; wpadłem do reszty w zły humor i wróciłem do domu w nie lepszym. Nie wspomniałem nikomu o moim widzeniu się z Machnickim, ale zdradzałem się w każdej chwili. Przymawiałem mężczyznom, gadałem niegrzeczności kobietom, tak dalece nie byłem panem siebie, że jedna z mających prawo przemawiać do mnie poufalej zmuszona była zawołać: czy pan oszalał?

Nazajutrz zabierałem się do powtórnych odwiedzin zamczyska. Dzień był piękny, obiecywałem sobie, że dla mnie będzie rozkoszny. Inaczej się stało. Odjechałem w stronę całkiem przeciwną, na zawsze. Po Machnickim wspomnienie mi tylko jednego dnia pozostało.

Gdyby los od mojego życzliwszy dał komu w ręce kronikę Machnickiego, niech ją nam ogłosi, przynajmniej w wyjątkach. Sądząc z tego, co czytałem, z tego, co wiem o jej twórcy, mogę naprzód zaręczyć, że będzie to dzieło rzadkiej poezji, a przy tym pełne wielkich, nowych i pożytecznych pomysłów, chociaż ubarwionych fantazją obłąkańca; bądź co bądź, jedyne w swoim rodzaju.

## WSTĘP<sup>129</sup>

Seweryn Goszczyński zostawił po sobie dwa dzieła, w których w całej pełni rozblęsnął jego talent poetycki, na wskroś epicki, i które go stawiają w szeregu pierwszorzędnych poetów naszych z romantycznego okresu. Są to *Zamek Kaniowski* i *Król Zamczyska*.

Ale poza tą ogólną wspólnością dzieła te pod innymi względami są wcale niepodobne do siebie. Pierwszy utwór pisany wierszem, drugi — prozą. Pierwszy, wydany w r. 1828, jest owocem młodości, wręcz, rewolucyjnie nastrojonej duszy poety, drugi — pisany w r. 1840, pochodzi z tego okresu jego życia, kiedy poeta daleko trzeźwiej spoglądał na swoją przeszłość rewolucyjną i dojrzywał do przelomu duchowego, jaki w nim niebawem miał nastąpić. Wielka różnica wreszcie zachodzi pomiędzy tymi utworami pod względem wrażenia, jakie one zostawiają po sobie: wprawdzie jest ono i tu, i tam bardzo silne, ale w pierwszym utworze dusza czytelnika, mocą potężnych, ale dzikich obrazów, jest brana

<sup>127</sup> *nadziemskość* — *nieziemskość*.

<sup>128</sup> *zobaczymy* — w pierwodruku: *zobaczemy*.

<sup>129</sup> *Wstęp* — autorem *Wstępu* jest historyk literatury Józef Tretiak (1841–1923), profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego.

czasem na tortury; w drugim — nic nie mąci spokoju harmonijnego, z jakim poeta tworzył swoje dzieło, a który udziela się czytelnikowi.

## I. ŻYCIE I TWÓRCZOŚĆ LITERACKA GOSZCZYŃSKIEGO

Młodzięczy okres życia poety aż do ukazania się jego *Zamku Kaniowskiego*, tj. do r. 1828, przedstawiłem dość szczegółowo we *Wstępie* do wydania tego poematu w *Bibliotece Narodowej* (Nr. 44), tu więc zamknę go w ogólnych tylko rysach, natomiast obszerniej i dokładniej przedstawię jego dzieje po rewolucji listopadowej, mianowicie dziesięcioletni okres jego życia, poprzedzający wydanie *Króla Zamczyska* (1842).

Seweryn Goszczyński, syn oficjalisty w wielkich dobrach Sanguszki, a przedtem żołnierza, który w roku 1792 służył pod Kościuszką, pochodził z ubogiej rodziny szlacheckiej, a przyszedł na świat w miasteczku Ilińcach na Ukrainie pod koniec 1801 roku, był więc o parę miesięcy tylko starszy od Bohdana Zaleskiego, a o trzy lata od Michała Grabowskiego, z którymi kolegował przez lat kilka na ławach gimnazjum humańskiego, a serdeczny stosunek, jaki wówczas z nimi zawiązał, odegrał wielką i dodatnią rolę w jego życiu i w rozwoju jego talentu. W obcowaniu z nimi, szczególnie w obcowaniu z Bohdanem Zaleskim, rozwinęło się w nim zamiłowanie w poezji; od nich, którzy górowali nad nim kulturą umysłową, wyniesioną z domowego otoczenia, otrzymał popęd do samokształcenia się. Co się tyczy rewolucyjnych zapędów i konspiracyjskich zamiarów, które się bardzo wczesnie zaczęły w nim objawiać, znajdując sprzyjające dla siebie podłoże w gwałtownym, wybuchowym temperamencie poety, tych nasiona chwycił nie od owych kolegów, ale z powietrza współczesnego, liberalizmem przesiąkniętego, które się dostawało do niego przede wszystkim za pośrednictwem gazet politycznych warszawskich. Warszawa też go zwabiła ku sobie, gdy porzuciwszy, wskutek zatargów z władzą szkolną, gimnazjum humańskie, ogłądał się za miejscem dalszego kształcenia się, i on to niewątpliwie pociągnął tam za sobą kolegę i przyjaciela, Zaleskiego.

W Warszawie zaraz rozpoczął życie konspiracyjne, przystępując do związku *Wolnych Polaków*, ale radość, jakiej doznawał w poczuciu należenia do tego spisku, niedługo trwała. Bieda i prześladowania policyjne, które ściągnął na siebie ów związek, zmusiły Goszczyńskiego bardzo prędko do opuszczenia Warszawy. Było to podczas wojny greckiej, kiedy sympatie całej liberalnej Europy zwracały się w stronę Greków, dobijających się wolności. Goszczyński, nie widząc na razie dla siebie żadnego pola do działania politycznego w kraju, postanowił udać się do Grecji, aby tam walczyć w szeregach powstańców. Ale łatwiej było powziąć taki zamiar, niż go wykonać. Zamiast w Grecji, znalazł się znowu na Ukrainie w okolicach Humania, i tu spędził lat kilka w najsmutniejszych warunkach, rojąc o utworzeniu „bandy patriotycznej”, ukrywając się przed policją, patrząc na biedę, która gnioła jego rodziców, i wylewając żółć na panujący porządek rzeczy w potoku liryków w rodzaju sławnej *Uczty zemsty*, która królom, księżom i arystokratom groziła sztyletami, a jak sam powiada w swoich zapiskach pamiętnikowych, jeszcze „nie była najkrwawszą”.

Z tego smutnego położenia wywieźli Goszczyńskiego zamożni koledzy humańscy, Jan Krechowiecki i Michał Grabowski. Przyciągnęli poetę do swoich domów, otoczyli opieką, dali mu możliwość wolnej od wszelkich trosk pracy poetyckiej i w ich to dworach wiejskich, w Leszczynówce i Aleksandrówce, pisany był i ukończony *Zamek Kaniowski* Goszczyńskiego, który wydany niebawem ich kosztem w Warszawie (1828), a wysoko w krytyce Mochnackiego podniesiony, stał się podwaliną poetyckiej sławy Goszczyńskiego.

Powodzenie, jakiego doznał *Zamek Kaniowski*, zachęcało Goszczyńskiego do snucia nowych planów poetyckich, ale na przeszkodzie do ich wykonania stawał naprzód brak stałej własnej siedziby — o Goszczyńskim można powiedzieć, że był przez całe życie bezdomny — a po wtóre gorączka rewolucyjna, stale w jego duszy nurtująca, która odwracała jego myśli od literatury i pobudzała do bardzo naiwnych nieraz zamysłów politycznych. Bardzo charakterystyczne pod tym względem szczegóły podaje sam Goszczyński w swoich *Zapiskach do moich Pamiętników* (Teki VII). W r. 1828 towarzyszył on choremu Grabowskiemu (za cudzym paszportem, jako lokaj) do Wiednia przez Galicję i w tej podróży przychodziły mu do głowy „dziwne zamiary”. „Marzy mi się pobyt w Galicji,

życie awanturnicze w Karpatach, wojskowość w służbie austriackiej, huzary węgierskie, opryszki itp.”, marzenia, które, jak dodawał, „w pewnej części ziściły się w kilka lat później”. Ponieważ, jako opiekun chorego przyjaciela, nie mógł go odstąpić, nie mógł więc na razie kusić się o zrealizowanie tych awanturniczych projektów; ale kiedy w tymże roku, ze zdrowym już Grabowskim, wracał z tej podróży przez Warszawę i znalazł się blisko granicy galicyjskiej koło Drużkopola, postanowił rozstać się z przyjacielem, który, o ile znał jego awanturnicze plany, musiał je stanowczo potępiać. Spodziewał się Goszczyński znaleźć tu w okolicy (w Mrozowiczach, naprzeciw Kryłowa) innego przyjaciela i kolegę ze szkoły humańskiej, mniej krytycznie usposobionego dla podobnych planów, Wacława Pilawskiego, u którego już przedtem przebywał czas dłuższy w Samhorodku na Ukrainie. Do niego, jak w dym, na pewne, puścił się do Mrozowicz i tu z przykrym zaskowaniem dowiedział się, że Pilawskiego nie ma, a jego ekonom leży chory.

Było to już w początkach zimy. „Położenie moje (powiada Goszczyński w *Zapiskach*) było ciężkie, nie miałem sukien, tylko letnie, wyjąwszy płaszcz i surdut — prawie bez grosza, ale rachowałem na dobroć Pilawskiego. Jak na złość nie zastałem go, był właśnie w Samhorodku, nie wiadano, kiedy powróci”. Cóż czyni Goszczyński w tym trudnym położeniu? Ani o przeprawie do Galicji, ani o spokojnym oddaniu się twórczości poetyckiej pod nieobecność przyjaciela w Mrozowiczach nie może myśleć. Zaprasza się więc „bez ceremonii” do ekonomy, i żeby „nie być wielkim ciężarem dla biedaków”, uczy jego dzieci czytania i pisania, a jemu, dogorywającemu na suchoty, pomaga w pisaniu raportów. W takich warunkach trudno mu było zabrać się do pracy literackiej. „Pisanie było niepodobnym dla przeszkód, nawet fizycznych — główne moje zatrudnienie było spisywać bajki i pieśni, które mi się zdarzyło usłyszeć”.

To trudne położenie Goszczyńskiego w Mrozowiczach zmieniło się na lepsze za przyjazdem Wacława Pilawskiego, i wtedy nasz poeta-konspirator zaczął pisać. Mrozowicze były własnością brata Wacława Pilawskiego, człowieka obłąkanego i poddanego kurateli (Wacław był tylko administratorem); była tam biblioteczka, złożona z książek treści religijnej, z której Goszczyński korzystał; od proboszcza z Litowirza dostał *Biblię*; zaczął się w nią wczytywać i „przenikać się” jej poezją. Owocem tego przenikania się poezją *Biblii* były układane wtedy przezeń wierszem prorocstwa Izajasza i Jeremiasza, jak znów książka pt. *Cuda Obrazu Częstochowskiego*, którą tam wtedy czytał, dostarczyła mu legend, z których korzystał niedługo potem przy pisaniu powieści *Polak w Jassyrze*.

Latem 1829 r., widocznie zaniechawszy awanturniczych planów tajemnego działania politycznego w Galicji, wrócił Goszczyński na Ukrainę i znowu przebywał w gościnie u Krehowieckiego i Grabowskiego, przygotowując dwutomowy zbiór swoich poezji, do którego miały wejść dwie powieści: *Polak w Jassyrze* i *Wernyhora*. Grabowski zamyslał wówczas o założeniu pisma literackiego w Warszawie i w tym celu tam się wybierał; Goszczyński, przeczuwając nadchodzącą burzę rewolucyjną, postanowił na zawsze opuścić Ukrainę i przenieść się na stałe do Warszawy, towarzyszył więc znowu Grabowskiemu, ale tym razem już pod własnym nazwiskiem. Grabowski zamiaru swego nie doprowadził do skutku, przeszkodził temu rewolucyjny nastrój stolicy; Goszczyński trafił w najlepszą dla siebie i swoich marzeń i dążeń politycznych porę. Zaznajomiony z Piotrem Wysockim, zaczyna wchodzić do tajemnych robót, gotujących powstanie, a kiedy termin wybuchu oznaczono na 18 października, on i Nabelak, z którym się wówczas zaprzyjaźnił, mieli być głównymi sprawcami zamachu na W. Księcia podczas przejazdu jego na paradę wojskową na placu Saskim. Termin wybuchu odroczono, ku najwyższemu zniecierpliwieniu Goszczyńskiego, ale co go ominęło w dniu 18 października, wynagrodził sobie w nocy 29 listopada, należąc do tej garstki młodzieży, która uderzyła na Belweder, siedzibę W. Księcia, i dała tym hasło do powstania.

W powstaniu występował Goszczyński w podwójnej roli, jako żołnierz i jako poeta, pobudzający do boju, a jego liryki bojowe, jak dobrze znany *Marsz za Bug*, należą do najlepszych pieśni patriotycznych z czasów powstania. Ale i jego duch konspiracyjny znalazł również i wtedy dla siebie pole do działania. Kiedy po bitwie ostrołęckiej, po upadku powstania na Litwie i przekroczeniu Wisły przez wojska rosyjskie położenie stawało się niezmiernie groźnym, a tymczasem Skrzynecki pozostawał ciągle w bezczynności, wtedy wśród gorętszych żywiołów, doprowadzonych do rozpacz, gotował się spisek, mający na celu obalenie ówczesnego rządu, przede wszystkim zamach na Skrzyneckiego i Czartory-

skiego. Do zamachu nie doszło, ale sam Goszczyński przyznaje, że wraz z Nabelakiem, Tetmajerem i in. brał udział w tym spisku.

Po upadku powstania, kiedy wojsko polskie przechodziło granicę pruską i tam broń składało, i on to uczynił, ale nie poszedł wraz z tylu innymi na Zachód, do nęcących swoją wolnością Francji lub Szwajcarii, lecz korzystając z przyjacielskiego stosunku z Józefem Tetmajerem, który, jako poddany austriacki, mógł swobodnie z ziemi pruskiej wrócić do Galicji, podążył tam z nim razem, opatrzony paszportem, wystawionym na imię jego sługi. Podążył tam, bo nie tracił nadziei, że powstanie, choć przygasło na chwilę, niedługo rozżarzy się na nowo, zwłaszcza gdy ten żar przygasły będą rozdmuchiwać takie, jak jego, płuca.

Siedmioletni (1831–1838) pobyt Goszczyńskiego w Galicji stanowi zamknięty, zaokrąglony okres w jego życiu. Praca jego, w tym okresie (jak zresztą i w innych) mająca stałe charakter przypadkowości, rozwijała się nieomal równolegle w kilku kierunkach. Zaznajamiał się z górską przyrodą tatrzańską i chłonał w siebie jej wdzięki, tak nowe dla mieszkańca stepów; lubował się jędrnością i dzielnością górali, którym w swoich marzeniach politycznych wyznaczał ważną rolę, badał ich życie, obyczaj, wierzenia, aby, stosownie do poglądów Brodzińskiego, czerpać stąd materiał do swoich utworów poetyckich; przede wszystkim zaś uprawiał konspirację, w której widział jedyną drogę, prowadzącą do wyzwolenia Polski. Wielkim ułatwieniem dla Goszczyńskiego w swobodnym poruszaniu się i działaniu w Galicji była dobra znajomość z rodziną Tetmajerów, którzy mieli wioskę Mikołajowice pod Tarnowem i inną posiadłość (Łopusznę) w pobliżu Tatr. Jak z Mikołajowic łatwo mu było zawiązać już w następnym roku (1832) pierwszy patriotyczny spiszek w Tarnowie, który zresztą niedługo istniał, tak z Łopusznej mógł łatwo przedsiębrać wycieczki w Tatry, które go wtajemniczały w piękności przyrody tatrzańskiej i zbliżały do ludu górskiego.

Pod koniec 1832 r. zaczyna Goszczyński zaznajamiać się i ze wschodnią Galicją, we Lwowie styka się z Ignacym Kulczyńskim, emigrantem z Wołynia, który, podobnie jak Goszczyński, krząta się, aby nowe przygotować powstanie, i razem z nim i z innymi emigrantami przebywającymi w Galicji, a także przy udziale krajowców, organizuje związek pod nazwą *Związku 21*, bo tylu było jego uczestników. Krajowcom, jako lepiej znającym warunki miejscowe, przyznano kierownictwo w *Związku*, i może dlatego *Związek* miał działać powoli, poczynając od założenia pisma czasowego, które by odpowiednio nastrojało umysły.

Ażeby mieć fundusze, potrzebne do wydawania pisma, zwrócono się o pomoc pieniężną do Komitetu patriotycznego szlacheckiego we Lwowie, w którym zasiadał między innymi i sławny już wówczas komediopisarz, Aleksander Fredro. Komitet nie był od tego, aby udzielić zasiłku pieniężnego pismu, mającemu cele patriotyczne, ale żądał pewnej kontroli nad jego redakcją. Mianowicie Fredro, który zapewne wiedział o udziale Goszczyńskiego w tym dzienniku, miał wyrazić obawę, aby nie drukowano tam czegoś, co by było w duchu *Uczty zemsty*, i dlatego żądał, aby artykuły przed ogłoszeniem przechodziły przez cenzurę komitetu. Na ten warunek Goszczyński się nie zgodził i dał dosadną odpowiedź komitetowi, w swoich zaś późniejszych *Zapiskach* zanotował: „Przez to upadł projekt Dziennika, a ja straciłem dla Fredry szacunek i okazałem to jemu kilka lat później w rozprawie: *Nowa epoka poezji polskiej*”.

Wkrótce potem wysłańcy stronnictwa Lelewelowskiego na emigracji zaczęli organizować w Galicji spiszek, który miał w zaborze rosyjskim wywołać nowe powstanie pod dowództwem Zaliwskiego. W tym szalonym zamiśle opierano się na niedorzecznej nadziei, że lud da się porwać garstce ochotników do broni i że to nowe powstanie da hasło do powszechnej rewolucji w Rosji, a może i w innych krajach. Wciągnięto Goszczyńskiego do tej roboty, ale jakkolwiek był skory do konspirowania i pozbawiony krytycyzmu, przecież i jemu wydawała się ta robota opartą na kłamstwie i stąd potępiania godną, jak to w swoich *Zapiskach do moich Pamiętników* zaznaczył. Awanturnicza wyprawa Zaliwskiego, jak wiadomo, przyprawiła o śmierć wielu szlachečných szaleńców, ściągnęła na kraj pod rządem rosyjskim całą falę nowych udręczeń, a na Galicji odbiła się zmianą postępowania rządu austriackiego wobec emigrantów, których zaczęto ścigać i prześladować. I Goszczyński, który dotychczas swobodnie się poruszał w Galicji, musiał odtąd taić się i ukrywać.

W sąsiedniej Rzeczypospolitej Krakowskiej, jakkolwiek zostawała ona pod bacznym dozorem trzech dworów rozbiorczych, można było przecież żyć swobodniej, i tam w roku 1835 przeniósł się na jakiś czas Goszczyński i zawiązał *Stowarzyszenie ludu polskiego*, którego zadaniem było szerzyć pojęcia demokratyczne, jako podstawę do moralnego i politycznego odrodzenia Polski. Naukowym i literackim organem tego związku był miesięcznik pt. *Powszechny Pamiętnik nauk i umiejętności*, założony przez jednego z członków związku, Leona Zienkowicza; Goszczyński był głównym współpracownikiem i przewodnikiem myśli głównej *Stowarzyszenia* i tutaj to umieścił swoją obszerną krytykę najnowszej poezji polskiej, w szeregu artykułów, którym nadał zbiorowy tytuł: *Nowa epoka poezji polskiej*. W tej krytyce występował ostro, w myśl dążności Brodzińskiego, przeciw wszystkiemu, co trąciło naśladownictwem, co nie było z gruntu rodzimym, a także i przeciw wszystkiemu, co przeczyło w jakikolwiek sposób jego ideałom patriotyczno-społecznym, i tutaj to w bolesny sposób dotknął Aleksandra Fredrę, w którym upatrywał przeciwnika tych swoich ideałów.

W Krakowie też, w tymże roku 1835, zetknął się Goszczyński z nowym emisariuszem stronnictwa Lelewelowskiego, Szymonem Konarskim, który przybywał do kraju już nie z zamiarem wszczęcia partyzantki na wzór Zaliwskiego, ale dla demokratycznej, tajnej propagandy i utworzenia sieci spiskowej pod zaborem rosyjskim, a także w Galicji. Porozumienie z Konarskim nastąpiło łatwo, Konarski znalazł gorliwego współdziałacza w Goszczyńskim, a kiedy sam pod koniec 1835 roku przeprowił się za granicę rosyjską na Wołyń, rozpoczynając swoją przeszło dwuletnią robotę spiskowo-patriotyczną, Goszczyński został w Galicji, jako główny organizator tajnego związku patriotycznego. Miał i on potem ruszyć w ślady Konarskiego i jeszcze na początku 1838 r. zamyslał o tym, ażeby się przedostać za granicę rosyjską, ale w tym czasie zjawiał się w Galicji wysłaniec innego stronnictwa emigracyjnego, mianowicie emisariusz Centralizacji *Towarzystwa Demokratycznego* (które dotychczas z daleka się trzymało od robót spiskowych w kraju), z pełnomocnictwem do tajnego działania w Galicji, i zetknął się z Goszczyńskim.

Tym pełnomocnym wysłańcem Centralizacji demokratycznej był Robert Chmielewski, znany Goszczyńskiemu jeszcze z nocy 29 listopada, do porozumienia więc między nimi prędko przyszło, a następstwem tego porozumienia było, że Goszczyński postanowił swoje stosunki i wpływy w Galicji przenieść na wysłańca Centralizacji, który go zapewne musiał przekonać, że najsilniejszym i najwięcej obiecującym dla przyszłości narodu stronnictwem emigracyjnym jest Towarzystwo Demokratyczne. Sam Goszczyński zaniechał wtedy zamiaru udania się w ślady Konarskiego i postanowił wyjechać do Francji, ażeby już nie konspirowaniem, ale na drodze literackiej służyć ojczyźnie, bo warunki galicyjskiego życia nie dawały mu możliwości pracowania na tej drodze. Wiemy z listów jego, że go przyjaciele galicyjscy, ceniący jego talent poetycki, do tego nakłaniali; wiemy, że i on sam czuł, że rola jego konspiracyjna w Galicji już skończona, a że, przeciwnie, na emigracji, przy swobodzie słowa, ma jeszcze niejedno do wypowiedzenia światu, a przynajmniej swojej ojczyźnie. Bardzo być może, że i Robert Chmielewski nakłaniał go do tego, chcąc pozyskać dla Towarzystwa Demokratycznego tak cenną siłę literacką. Zawiózł tedy Goszczyński Chmielewskiego do Lwowa, wprowadził go w styczność z „Naczelnym Zborem”, tj. centralizacją patriotycznego związku galicyjskiego, a sam w pierwszych dniach maja 1838 r. puścił się do Francji. Podróż trwała trzy miesiące; dopiero w początkach sierpnia znalazł się na ziemi francuskiej, w Strasburgu.

Zaraz po przybyciu Goszczyńskiego do Strasburga zgłosili się do niego listownie ówczesni członkowie Centralizacji (Malinowski, Heltman, Darasz i in.) i wzywali go jak najgoręcej, ażeby niezwłocznie przyjechał do nich, do Poitiers, dla porozumienia się. W istocie mogli sobie wiele obiecywać po ścisłym stosunku z nim, nie tylko jako z poetą demokratyczno-patriotycznym, ale i jako z tym, który miał kilkoletnią praktykę konspiracyjną i poznał wzdłuż i wszerz Galicję. Ale Goszczyński nie mógł zaraz uczynić zadość ich żądaniu, głównie, jak się zdaje, z powodu złego stanu zdrowia; odkładał tedy na później swój przyjazd do Poitiers, ku wielkiemu zmartwieniu Centralizacji, a tymczasem nadeszły rady i przestrogi ze strony Bohdana Zaleskiego, „ażeby się długo i powoli rozpatrywał w emigracji, zanim coś postanowi z sobą”, co mogło być jedną więcej pobudką dla Goszczyńskiego, żeby się nie spieszyć do Poitiers. Ale porozumiewał się z Centralizacją demokratyczną listownie i napisał obszerny a bardzo dla niej przydatny memoriał



o tym, w jakim stanie znajduje się „demokratyczna nauka” w Galicji, o usposobieniu społeczeństwa galicyjskiego pod względem patriotycznym i demokratycznym, a także o tym, jakimi powinni być i jak powinni działać na gruncie galicyjskim emisariusze emigracyjni.

Bardzo ciekawy ten memoriał, jak z jednej strony odsłaniał ewolucję wyobrażeń politycznych i społecznych w kraju, tak z drugiej strony świadczył o znacznym otrzeźwieniu samego Goszczyńskiego, który umiał obiektywnie przedstawić zarzuty czynione przez Galicjan konspiracyjnej emigracji, pomimo iż wymierzone one były głównie przeciw demokracji, za której członka on sam się uważał. „Te wszystkie zarzuty — czytamy w memoriale — a mianowicie wynarodowienie się, duch kosmopolityzmu, a raczej ślepe naśladowanie cudzoziemców ze szkodą sprawy narodowej, przenoszenie do kraju teorii, które w żadnym narodzie dotąd zastosować się nie dały, dla których dzisiaj żaden naród jeszcze nie dojrzał... zupełna nieznanomość obecnego położenia i obecnych potrzeb, największa nietrafność w wyborze środków, stosowane są szczególnie, powiedziawszy prawdę, do emigracji demokratycznej”.

Jeszcze silniej właściwy Goszczyńskiemu duch prawdy przemówił z tego ustępu memoriału, gdzie podawał swoją opinię o warstwie szlacheckiej w Galicji. O arystokracji miał on jak najgorsze wyobrażenie, jako o takiej, która jest „śmiertelnym wrogiem nowych wyobrażeń” i przed którą „trzeba się pilnować”; ale na szlachtę „właściwą, dziedziców i nie dziedziców”, spoglądał jako na „jedyną przechowywaczkę świętego ognia przeszłego życia i narodowości polskiej”, i przedstawiał ją jako „pragnącą ojczyzny, jak zbawienia, władającą pośrednio i bezpośrednio wszystkimi środkami materialnymi, umysłowymi i moralnymi narodu, wszechmocną prawie w kraju, jedyną, przez którą w dniach przygotowawczych można coś zrobić, na którą w samym powstaniu najwięcej rachować można... najzdolniejszą wszystko pojąć, przyjąć, poświęcić własny swój interes i zrobić powstanie”.

Stawiając te słowa w Strasburgu, niewątpliwie musiał Goszczyński już znać okólniki Centralizacji Towarzystwa Demokratycznego z lat 1836 i 1837 z zawartymi w nich dwoma projektami manifestu, który miał wypowiedzieć i uzasadnić wobec emigracji i całej Polski dążenia Towarzystwa. Zapatrzona we wzory wielkiej rewolucji francuskiej, Centralizacja zupełnie inaczej niż Goszczyński traktowała szlachtę, w żadne kompromisy z nią wdawać się nie chciała i groziła jej zemstą ludu, pewna, że tym łatwiej skłoni ją do połączenia się z ludem. Był więc memoriał Goszczyńskiego bardzo wymowną, bardzo stanowczą, chociaż w łagodnej formie podaną, nauką dla Centralizacji, jak ma działać w kraju, jak ma zmienić swoją dotychczasową politykę wobec szlachty, jak uczynić tę politykę realną, owocną.

Przed wszystkim raziło Goszczyńskiego wzgardliwe odnoszenie się Centralizacji do przeszłości narodu, wyzbycie się wszelkiego poczucia narodowości polskiej wskutek bezwzględного przejęcia się obcymi wpływami; więc podając zasady, na jakich powinien się oprzeć tajny związek demokratyczny, który ma być utworzony w kraju i przygotować powstanie, tak pisał: „Narodowość polska jest dziś jedyną potęgą, która daje odpór napastnikom narodu polskiego; jest świętością naszą. Nie znajdzie współczucia w narodzie, kto okazuje dla niej pogardę lub ją lekceważy. Barwa zatem narodowości powinna się rozlać na całą budowę związku przyszłego tak, aby jaśniała w jego celu, tchnęła z każdego szczegółu, ożywiała każdą myśl ustawy... Krótko mówiąc, powinna promienić z wnętrza dzieła, jak jego dusza, a zewnątrz odziewać je, jak ciało odziewa duszę”.

Ta obrona narodowości dobrze harmonizowała z duchem utworu, którego pomysł już podczas pisania memoriału musiał się zarysowywać w twórczej wyobraźni poety, a który wkrótce potem zaczął przyoblekać kształty powieściowe, z duchem *Króla Zamczyska*.

Z innych objawów literackiej twórczości Goszczyńskiego w owych czasach najmniej godnym uwagi jest udział jego w piśmie humorystycznym polskim, które w r. 1839 zaczął wydawać w Strasburgu dobry znajomy jego, dawniejszy wydawca krakowskiego *Po-uszechnego Pamiętnika nauk i umiejętności*, Leon Zienkowicz. Pismo to chciało nawiązać do czasów obecnych tradycję Rzeczypospolitej Babińskiej i dlatego miało tytuł *Pszonka*, ale obracało się w zbyt ciasnym kole satyry, wymierzonej przeciw stronnictwom emigracyjnym i ich organom, z którymi Towarzystwo Demokratyczne pogodzić się nie mogło, przede wszystkim przeciw stronnictwu dynastycznemu, które w księciu<sup>130</sup> Adamie Czar-

<sup>130</sup>księciu — w źródle: X.

toryskim widział króla *de facto*. W piśmie tym, w którym oprócz wydawcy brali udział Goszczyński i świeżo także przybyły z Galicji Lucjan Siemieński, były niektóre artykuły wesołe i dowcipne, ale te, które wydobyl z *Pszonki* Zygmunt Wasilewski i wydał w zbiorowym wydaniu *Dzieł Goszczyńskiego* (1910) jako utwory tego poety, mało mają humoru, a wiele zaciętości stroniczej. W ogóle humor był czymś obcym naturze Goszczyńskiego, który na życie spoglądał zawsze okiem poważnym i surowym. Więcej mają znaczenia jego recenzje literackie, umieszczane w tym czasie (1841–1842) w *Demokracji Polskiej*, nieliczne wprawdzie, ale takie, w których stan jego duszy i kierunek wyobrażeń mógł się lepiej niż w humorystyce wypowiedzieć. Taką była naprzód jego ocena *Pamiętek Soplisy* Henryka Rzewuskiego, które były czymś zupełnie nowym, nie mającym wzoru przed sobą w literaturze polskiej. Ocena była obszerną, wszechstronną, w wielu rzeczach trafną; Goszczyński zastanawiał się w niej nad zadaniem krytyki i dochodził do wniosku, że krytyka powinna być tym dla literatury, czym jest sumienie dla człowieka. Jeszcze godniejszą uwagi była recenzja poezji Bohdana Zaleskiego, które wtedy ukazały się na horyzoncie literackim. Recenzja była także obszerna, szczegółowa, napisana przy tym z wielkim polotem i wielkim przejęciem się ważnością zadania, jakie miał krytyk przed sobą. Chodziło Goszczyńskiemu o to, aby i spłacić dług przyjaźni, podnosząc wysoko poezję przyjaciela, której wartość artystyczną umiał ocenić, i zaznaczyć jaskrawą różnicę ideową, która ich dzieliła. Tamtego domagało się serce krytyka, tego — jego sumienie polityczne i patriotyczne.

Co się tyczy różnicy ideowej, ta dotyczyła poglądów jednego i drugiego poety na katolicyzm. Zaleski szukał zbawienia Polski w zupełnej zgodzie z Kościołem katolickim; stanowisko Goszczyńskiego, zakreślone w tej recenzji, było stanowiskiem deisty, ale deisty w duchu Russa<sup>131</sup>, nie Woltera, to jest opierał on religię na uczuciu, nie na rozumie. Religii przypisywał wielkie znaczenie w życiu ludzkości, uważał ją „za rozwijanie się ludzkości z Boga ku Bogu”, ale widział w niej dwie strony: niebieską i ziemską. Pierwszą stanowią prawdy, wyrte w sercu ludzkim, wrodzone, które człowiek z sobą już na świat przynosi i które są wspólne wszystkim religiom, i to jest — utrzymywał — „jedyna wiara prawdziwa”. Druga strona jest już dziełem umysłu ludzkiego, „mniej więcej doskonaleni, stosownie do usposobienia duchowego danych epok”, i ma się do pierwszej, jak ciało do ducha, podlega zużyciu się i śmierci. „Obie te strony widzimy w każdej religii, widzimy je i w poezjach Zaleskiego, pisanych pod wpływem wyobrażeń wyłącznie religijnych”. O ile pierwsza występuje, „w poezjach jego wieje pewien powiew nieskończoności... wszystkie serca jemu wtórują”, „ale jak wciśnię swoje natchnienie w ułomne, zużyte formy rzymskiego katolicyzmu, cały widok duszy zmienia się, posępnieje, maleje... z wiary wygląda tylko jej bierna strona, strona modłów, zwątpienia o ludzkich środkach, zdania się całkowitego na łaskę Opatrzności; myśl polska rozbija się w ascetyczne dumania, a naród traci swego poetę i znajduje tylko poetę zakonnika”.

Trzeba dodać, że Goszczyński, bardzo niedostatecznie obeznany z nauką Kościoła katolickiego, fałszywie przypisywał jej, a stąd i Zaleskiemu, poglądy takie np., że „wola człowieka jest niczym”, że „sam Bóg ostatecznie rozstrzyga bez względu na zasługi cierpiącego, bo jego wyroki są przedwieczne”, że „znaki zbawienia i potępienia rozdane są przed narodzeniem się wybranych i odrzuconych”, itp. W zastosowaniu do sprawy narodowej Goszczyński twierdził, że katolicyzm prowadzi tylko do „biernej rezygnacji, odcierania się od ziemi, zaniechania wszystkich spraw ziemskich, lekceważenia wszystkich obowiązków obywatelskich”. Z tych to błędnych informacji Goszczyńskiego o Kościele katolickim płynęła w znacznej części jego niechęć ku temu Kościołowi.

Najważniejszą rzeczą w jego ówczesnej twórczości literackiej były powieści. Znał swój talent epicki, upewnili go o nim tacy krytycy, jak Grabowski i Mochnacki, a potem i literaci galicyjscy, którzy niewątpliwie mieli głównie na oku jego twórczość epicką, kiedy go namawiali, ażeby wyjechał do Francji, gdzie by mógł, nie ścigany przez policję, oddać się spokojnie pisaniu. Próbował on już w pierwszych latach pobytu w Galicji z nowego materiału wrażeń, jakich mu dostarczyło zbliżenie się do ludu górskiego, jego podań i wierzeń, i do przyrody tatrzańskiej, utworzyć coś w rodzaju *Zamku Kaniowskiego*. Plan był zakreślony na wielką skalę: miała to być epepeja góralska z czasów pierwszego napadu

<sup>131</sup>Russo (daw.) — właśc. Jean-Jacques Rousseau (1712–1778).

Tatarów na Polskę, cudowność miała grać w tej epopei wielką rolę, ale z planu tej całości, która miała się nazywać *Kościelisko* (od nazwy doliny Kościeliskiej) udało się poecie wykończyć tylko jeden epizod, przedstawiający sobótkę w górach, wydany też pod tytułem *Sobótka* (w noworoczniku lwowskim *Ziewonia* 1834). Kiedy więc znalazł się we Francji i spełnił ważne i pilne zadanie wobec emigracji demokratycznej, to jest kiedy napisał ów *Memoriał* o Galicji, o którym wyżej była mowa, z kolei rzeczy stanęło przed nim główne zadanie, dla którego przyjechał do Francji: stworzenie jakiegoś nowego większego dzieła poetyckiego.

## II. GENEZA „*Króla zamczyska*”

Zanim przystąpił do wykonania zamiaru, była naturalnie chwila rozważania: do jakiego zwrócić się tematu? I w jaką odziać go formę? Miałże, jak w *Zamku Kaniowskim*, czerpać i teraz z niedawnych wspomnień historycznych i stąd zaczerpnięty temat znów w bajronicznej podawać formie? Czy też, jak w *Sobótce*, sięgać do zamierzchłych tradycji i współczesny obyczaj ludowy wiązać z cudownością bajecznych podań i wierzeń ludowych? Stawały zapewne przed nim i inne wzory współczesne, tak z polskiej poezji, jak i obcej, ale jak własne, tak i cudze nie odpowiadały teraz jego nastrojowi. Przyjechał do Francji z bogatym skarbem wrażeń, przeżyć, wspomnień z siedmioletniego pobytu w Galicji, chciał naprzód z tego świeżego źródła zaczerpnąć temat i podać go w formie jak najprostszej, bez oglądania się na żadne wzory. Tak się urodził *Król Zamczyska*.

Że tak było, że przez takie rozważania przechodziła myśl Goszczyńskiego przed rozpoczęciem powieści, dowodzi tego bardzo jasno krótki z polotem poetyckim napisany wstęp do niej. „Poezja — czytamy tam — jest wszędzie, w każdej chwili, jak bóstwo, nikomu nie wzbronna<sup>132</sup>, jak zbawienie, jak uczciwa sława. Nawet nasz wiek, tak osławiony, tak okrzyczany prozaicznym, nawet nasze pokolenie, odsądzone od czci i wiary przez idealistów, mają swoją poezję. Nie jest ona wprawdzie ani rajska, ani homeryczna, ani romantyczna, ale jest tak dobrą, jak wszystkie starsze jej siostry, jest poezją swojego czasu. Nie potrzeba jej daleko szukać, nie potrzeba jej uganiać poza obrębem dzisiejszej ludzkości, nie potrzeba jej sobie wymyślać, jest ona pomiędzy nami, w sferze naszego życia, naszych ludzi, w postaciach najpowszedniejszych”. A w dalszym ciągu tego krótkiego wstępu dodawał: „Chwile, przeżyte pod wpływem takiej poezji, stanowią najdroższy zapas najmilszych w moim życiu wspomnień: mam je z każdej epoki moich dziejów, a epoką najobfitszą może w taką poetyczność jest ostatni mój pobyt w krainie podkarpackiej”...

Otóż kiedy w danej chwili, w celach literackich, przeglądał w myśli ten „najdroższy” zapas wspomnień i przeżyć ze swego niedawnego, ale już przesłoniętego mgłą oddalenia pobytu w Galicji, jedno szczególnie wspomnienie przyciągnęło ku sobie jego fantazję i serce i stało się zarodem nowego dzieła poetyckiego. Było to wspomnienie przelotnej znajomości z człowiekiem, który w całej okolicy, gdzie przebywał, uchodził za obłąkanego, i który był nim w istocie, ale którego obłąkanie miało cechy głębokiej i szczerzej poezji i na tle swego czasu mogło się stać symbolem namiętnej miłości ojczyzny. Był to niejaki *Machnicki*, niższy urzędnik austriacki w Galicji w pierwszej ćwierci dziewiętnastego wieku, ale człowiek z wyższym wykształceniem i, jak się dowiadujemy z powieści Goszczyńskiego, władający nawet kilku językami obcymi.

Postać tę, aż do obecnej chwili, znaliśmy tylko z tej powieści i nie wiedzieliśmy, o ile ona miała być realny, niezależny od fantazji autora. Dopiero w świeżo wydanych przez Stan. Wasylewskiego pamiętnikach Ludwika Grzymały Jabłonowskiego (z rękop. w Ossolineum), pt. *Złote czasy i wywczasy. Pamiętnik szlachcica z pierwszej połowy XIX stulecia* (Lwów 1920), znajdujemy wzmiankę o Machnickim, stwierdzającą jego rzeczywistość, niezależną od powieści. Na str. 5 książki powiada Ludwik Jabłonowski, że „w zwaliskach Kamieńca<sup>133</sup>, zburzonego nie wiedzieć wśród jakiej wojny, przebywał zwykle obłąkany Machnicki; w r. 1833 zawiozłem tam Goszczyńskiego, którego natchnął *Królem Zamczyska*. Był to niski urzędniczek król. miasta Krosna, mały, chudy, łysy, w siwej kaptocie, całkiem nieszkodliwy, chadzał w odwiedziny po dworach i nawet wiersze składał”.

<sup>132</sup>wzbronny (daw.) — wzbroniony, niedostępny.

<sup>133</sup>Kamieńca — w książce czytamy „kamienia”, co jest najpewniej błędem, pochodzącym ze złego odczytu rękopisu, bo zamek nazywano zawsze Kamieńcem.

Dziś, dzięki p. Feliksowi Konopce z Brnia, możemy nie tylko upewnić się, że bohater powieści Goszczyńskiego był postacią rzeczywistą, ale i podać jego portret, odmalowany przez stryjecznego dziada, tj. stryja ojca p. Feliksa, bar. Prospera Konopkę, który był uczestnikiem powstania w 1831 r. (otrzymał krzyż *Virtuti militari*), a jednocześnie oddawał się malarstwu i przez lat kilka, już po r. 1831, był uczniem wiedeńskiej Akademii sztuk pięknych. P. Feliks Konopka na podstawie porównania tej akwareli z innymi portretami i szkicami tegoż artysty przypuszcza, że pochodzi ona jeszcze z lat przed powstaniem listopadowym, a że wszystkie te szkice i portrety „odznaczały się fotograficznym niemal uchwyceniem podobieństwa”, sądzi więc, „że i w tym portreciku mamy bardzo wierną podobiznę Króla Zamczyska”<sup>134</sup>.

Wreszcie p. Feliks Konopka, wiedząc, że mam opracować *Króla Zamczyska* dla Biblioteki Narodowej, a o rzeczywistym istnieniu Machnickiego nie byłem jeszcze wtedy dostatecznie przekonany, zwrócił mi uwagę, że dziś jeszcze w Krakowie można znaleźć osobę, liczącą dziś już lat 97, która będąc małą dziewczynką, widywała Machnickiego w domu swoich rodziców w Jasielskiem. Jest nią p. Eugenia ze Swiejkońskich Stojowska. Dzięki tej informacji zwróciłem się do p. Stojowskiej, pomimo późnego wieku obdarzonej jasnym i żywym umysłem, i z jej ust otrzymałem potwierdzenie tego, o czym mnie p. Feliks Konopka informował.

Oprócz tego zawdzięczam p. Feliksowi Konopce inne jeszcze wiadomości o Machnickim, jako rzeczywistym osobniku, który posłużył Goszczyńskiemu za model do *Króla Zamczyska*. W liście swoim do mnie z dnia 25 sierpnia 1921 r. pisze on co następuje: „Z opowiadań innych krewnych moich (dziś już nieżyjących), którzy Machnickiego osobiście znali — jeździł on bowiem po dworach okolicznych i dalszych, jak kwestarz, prześiadując nieraz tygodniami w gościnniejszych domach — odnosiłem zawsze wrażenie, że Goszczyński, idealizując swojego bohatera, przedstawił jednak bardzo wiernie stosunek miejscowego obywatelstwa do Machnickiego. Lubiono go w towarzystwach, gdyż bawiono się jego osobą i powiedzeniami, które czasem dziwnie zastanawiały i niepokoiły, i sadzano go do stołu, jak gościa, ale równocześnie (o czym już Goszczyński nie wspomina) obdarzano go bez ceremonii, jak żebraka. Ten ostatni rys, nieliczący z tym jakimś głębszym samopoczuciem królewskości, w które Machnickiego przystraja poeta, może jednak doskonale iść w parze z megalomanią obłąkanego, a zwłaszcza harmonizuje w zupełności z charakterystyką typu, którą znajdujemy w akwareli pędzla Prospera Konopki. — Z własnych słów Machnickiego cytowano mi tylko jedno zdanie, które z predylekcją powtarzał, gdyż było ono wyrazem jego *idée fixe*: „A ja wam powiadam, że diabeł urodził się w atramencie”. Woził nawet Machnicki ze sobą dużą butlę atramentu, którą ponoś otaczał urokiem tajemniczości, i nigdy z nią się nie rozstawał.

Tyle tylko wiadomości przekazała nam o Machnickim tradycja miejscowa, tradycja społeczeństwa, które w Machnickim widziało tylko nieszkodliwego a zabawnego wariata, a na które on, pomimo iż pozwalał mu zaopatrywać swoje potrzeby gospodarcze, spoglądał z góry, z wysokości idei, którą był do głębi przejęty, idei wskrzeszenia niepodległej Polski, i z wysokości stanowiska, jakie mu obłąkana wyobraźnia podsunęła — tymczasowego następcy czy zastępcy dawnych królów polskich. Ten stosunek Machnickiego do szlachty, wśród której się obracał, a która się jego kosztem bawiła, stosunek urągliwy, bardzo dobitnie się wyraża w twarzy Króla Zamczyska, jak go przedstawił w swoim portrecie Prosper Konopka.

Drugą stroną medalu jest ten wyraz — na pół natchnionego, na pół obłąkanego marzyciela — jaki nadał Goszczyński bohaterowi swojej powieści. Było wiele węzłów duchowych, które zbliżyły tych dwóch ludzi do siebie, a które poeta uwydatnił w powieści: zamiłowanie w poezji, w ruinach, w pięknej przyrodzie, tak pięknie odmalowane na początku rozdziału pt. *Zamczysko Odrzykońskie*, a przede wszystkim równie gorąca i górująca w sercu poety, jak i w sercu obłąkanego bohatera poematu, żądza wyzwolenia ojczyzny spod jarzma obcego. Toteż Goszczyński zupełnie innymi oczami spoglądał na Machnickiego, niż obywatelstwo jasielskie, a to wyraźne współczucie, z jakim się odnosił

<sup>134</sup>w tym portreciku mamy bardzo wierną podobiznę Króla Zamczyska — w liście do prof. Stanisława Kota z dnia 18 VI 1921 r.

poeta do szlachetnego obłąkańca, nie mogło ująć uwagi tego ostatniego i nie pobudzać go do pełnego otwarcia swojej duszy przed poetą.

Zresztą Goszczyńskiemu, gdy przedstawiał Machnickiego w swojej powieści, nie chodziło tylko o wierną kopię oryginału, który poznał, jak np. Prosperowi Konopce, ale wziął go za model do postaci symbolicznej, która ogarniała bardzo wiele, a w tej wielości i duszę poety w jej najgłębszych uczuciach narodowych. Jak dla Króla Zamczyska zamek odrzykoński stał się żywym symbolem całej Polski, jej przebrzmiałej i przygasłej, ale w gruzach jeszcze tającej się i tlejącej chwały, tak dla Goszczyńskiego ten obłąkany król miał być symbolicznym przedstawicielem najgorętszych duchów współczesnego pokolenia, pochłoniętych jedną tylko myślą, odzyskania ojczyzny, nic poza nią niewidzących i wszystko dla niej gotowych poświęcić.

Do takich duchów należał i sam Goszczyński, więc i siebie on w tym obłąkańcu wypowiadał, i tu zapewne dokładał do postaci swego bohatera to, czego w niej może nie było, co było wyrazem przekonań samego poety: wiara w lud, w odrodzenie Polski za pomocą ludu. Kiedy w chwili upadku powstania listopadowego, jak opowiada Machnicki, zawaliły się ostatnie pokoje mieszkalne zamczyska i stolica królewska Machnickiego do reszty runęła, a on sam ręce załamał, Stańczyk, jego duch opiekuńczy, zawołał do niego: „No, no, uspokój się... Aby dusza była, znajdzie się ciało. I czegoż tu rozpaczać? Widok wprawdzie bolesny, ale nie powód do rozpacz. Wicher złamał tylko spróchniałą gałąź: pień drzewa nietknięty i żyje. Wszystkich gałązek nie ocalisz, samego nawet drzewa, o ile jest nad ziemią, nie zabezpieczysz przeciw zepsuciu, ale pilnuj korzenia, tam życie. Dlatego wprowadzę cię w inne mieszkanie; zamknę myśl twoją w nowe formy, bezpieczniejsze i właściwsze. Więcej zyskasz, jak straciłeś”.

W tych słowach Stańczyka zamknął Goszczyński ideę społeczno-narodową, którą uwieńczył swoją symboliczno-alegoryczną powieść. Była to jego od dawna noszona w duszy wiara demokratyczna: tylko przez lud zdoła się Polska odrodzić; inne warstwy nie potrafią podźwignąć upadłej ojczyzny. Ale tu nasuwa się pytanie, jak się godzi ta idea i to ciemne tło szlacheckiego życia w Galicji, na którym Goszczyński odmalował bohatera swojej powieści, z poglądami autora na szlachtę galicyjską, podanymi w *Memoriale*, spisanim tuż przed powieścią, którego treść po części już znamy.

Myślę, że odpowiedź na to pytanie może być tylko taka: Goszczyński, przedstawiając szlachtę galicyjską w stosunku do *Króla Zamczyska*, akcentował głównie i prawie wyłącznie jej słabe strony, przede wszystkim jej lekkomyślność, która tak rażąco odbijała od stałości i głębi uczuć obłąkanego Króla. Od uczuć patriotycznych nie odsądzał jej wcale, i w jej lepszych jednostkach, których tu nie pokazywał, bo mu nie były do kontrastu potrzebne, ale których wiele w swoich wędrówkach podkarpackich poznał, w tych lepszych jednostkach widział, zgodnie z *Memorialem*, jedynych przechowujących „świętego ognia przeszłego życia i narodowości polskiej”. A stosował to jeszcze więcej do kobiet, niż do mężczyzn, bo o kobietach Polkach pisał w *Memoriale*, że są „rozumne, jak mężczyźni, a szlachetniejsze od nich, bardziej gotowe do poświęcenia się, z żywszym uczuciem narodowości, pod względem cnót i prywatnych i publicznych wyższe niezaprzeczenie od kobiet innych narodów... biorące udział w każdej sprawie bardziej czuciem, jak głową, przywiązujące się do raz wziętej całą mocą miłości, a przeto nieobojętne dla robót demokratycznych”. Otóż tej lepszej części szlacheckiego społeczeństwa wyznaczał on przejściowe wprawdzie, ale ważne zadanie w rozwoju przyszłości narodu, w dziele narodowego odrodzenia i odzyskania niepodległości.

Co myślał o ludzie wiejskim, na którym się głównie miało oprzeć to dzieło, to bardzo wyraźnie w owym *Memoriale* wypowiedział.

Macie (w Galicji) lud wiejski polski i ruski<sup>135</sup> i oddzielny prawie od tych obydwóch lud góralski, a wszystkie nie lubiące się wzajemnie. Lud polski, plemię w całej Polsce najdzielniejsze, ale zepsute w wysokim stopniu przez machiawelizm austriackiego rządu, nie uważające się prawie za jedno z Polakami, nie cierpiące szlachty, jako panów i Polaków, ufające rządowi, który ma za ojcowski, trudne do nawracania dla wielkiej ku Polakom nieufności — mimo to usposobione już nieco przez wypadki i propagandę,

<sup>135</sup>ruski — tu: ukraiński.

Kobieta, Polak, Patriotą,  
Szlachcic

Lud, Chłop, Pozycja  
społeczna, Patriotą, Polak,  
Rewolucja

którego wszakże przysposobienie do powstania i poruszenie w całej masie można jest tylko przez szlachtę właścicieli, a przynajmniej przez krajowców. Górale wyżsi są od mieszkańców równin i fizycznie, i umysłowo; lud zręczny, pojętny, zuchwały, zacięty, straszny w wojnie prowadzonej w jego okolicach, zwący wszystkich nie-górali Polaków nienawistnym nazwiskiem „Lachów” — nieuległy, najprzystępniejszy z ludu wiejskiego propagandzie, ale przy tym najskrytszy, najchytrzejszy, najdwuznaczniejszy i dlatego wymagający w postępowaniu z nim wielkiej zręczności i ostrożności apostołów. Lud ruski nienawidzi Polaków nienawiścią plemienia, języka, wiary i niewolnika; najbardziej znękany, najbardziej spodlony, mimo to, a może i dlatego, przyjmuje najszczerzej słowa zbawienia i ostatnie wypadki dały mu zręczność pokazać się albo z mniejszą nienawiścią, jak lud innych okolic, ku propagatorom, tj. emigrantom, albo wprost z większą przychylnością, która dochodziła niekiedy do rozrzewniających poświęceń się.

Wreszcie, uzupełniając charakterystykę ludu wiejskiego w Galicji, określał jego uczucia religijne jako „systemat zabobonów, fanatyzmu i czci zewnętrznej”; i kończył wnioskiem, że „nie ma podobieństwa, ażeby przed powstaniem można wlać w niego pojęcie całej ważności przyszłego powstania i usposobić go na lud, godny Rzeczypospolitej”.

Ze wszystkich podanych tu słów Goszczyńskiego o ludzie wiejskim wynika, że jakkolwiek na nim głównie opierał przyszłość Polski, na razie spoglądał na niego jako na siłę ślepa, drzemiącą, nieświadomą i niezwiązaną z tradycjami przeszłości. Któż mógł ten lud doprowadzić do poczucia godności ludzkiej i narodowej, otworzyć przed nim skarby pełnej chwały przeszłości, dziś dla niego nieistniejącej, a przede wszystkim powołać do zrzucenia obcego jarzma, które wszelki rozwój jego ducha obywatelskiego i poczucia narodowego tamowało? To mogła zrobić — Goszczyński wyraźnie to powiedział — tylko szlachta, o ile była przejęta miłością ojczyzny i duchem demokratycznym, który by ją zbliżał do ludu i pozwolił jej skutecznie oddziaływać na niego. Ażeby zaś szlachta mogła wypełnić to zadanie, potrzeba, ażeby inicjatywie i bodźca w tym kierunku dawała jej demokracja emigracyjna, tylko nie w taki sposób, jak się to dotychczas zwyczajnie działo, nie w sposób, który obrażał uczucia narodowe szlachty przez pogardę lub lekceważenie narodowości polskiej i bezwzględne, ślepe naśladowanie wzorów obcych w polityce.

Ostatecznie ideologia Goszczyńskiego w czasach pisania *Memoriału* i *Króla Zamczyska* nie odbiegała tak daleko od ideologii Krasieńskiego, jako autora *Psalmu miłości* i tzw. *Niedokończonego poematu*, jakby się to na pozór zdawać mogło. Prawda, że hasło Krasieńskiego „z szlachtą polską polski lud” wyznaczało ludowi wobec szlachty drugorzędne stanowisko, ale i Goszczyński na razie godził się na ten stosunek, skoro wierzył, że tylko szlachta mogła ten lud pociągnąć do powstania i natchnąć go duchem obywatelskim. Te zaś gromy, które w *Niedokończonym poemacie* Krasieński ustami Aligiera<sup>136</sup> ciska przedstawicielowi czerwonej demokracji emigracyjnej, Pankracemu, pytania jego, czym by on, Pankracy, był i kto by głosu jego za ludem słuchał, „gdyby nie Chrobrych miecz, Jądwiگی niepokalaność, Zygmunów mądra miłość, Batorych hart” itd., dobrze się godzą i z przestrogią, które dawał Goszczyński Centralizacji Demokratycznej w *Memoriale* i z duchem powieści, której bohater przejęty jest aż do obłąkania najgłębszą czcią dla wielkiej przeszłości narodu.

### III. WPŁYW POEZJI MICKIEWICZOWSKIEJ

Pomysł *Króla Zamczyska* jest oryginalny, wysnuty, jak wskazano wyżej, z własnych przeżyć i wspomnień poety, jego własną ideologią wykarmiony, ale jak w *Zamku Kaniowskim*, tak i tutaj poezja Mickiewicza w rozwinięciu szczegółów zostawiła ślady, i to jeszcze wyraźniejsze, niż w tamtym utworze, ślady tego silnego wrażenia, jakie ona na umyśle Goszczyńskiego, w kolei pojawiania się różnych jej utworów, wywierała. W *Zamku Kaniowskim* najwięcej się uwidatnił wpływ *Grażyny*, w *Królu Zamczyska* najwyraźniej odzywają się echa czwartej części *Dziadów*. Pochodzi to stąd, że bohaterowie tych dwu ostatnich utworów są sobie pokrewni: obaj są ludźmi obłąkanymi, obaj wobec otoczenia,

<sup>136</sup>Aligieri, właśc. Dante Alighieri (1265–1321) — poeta włoski, autor *Boskiej Komedi*.

władającego rozsądkiem, zajmują podobne stanowiska. Różnica między nimi ta zachodzi, że Gustawa do obłąkania doprowadziła miłość pięknej kobiety, którą uważał za duszę przeznaczoną dla siebie od Boga, a tylko przez ludzi mu odebraną — Machnickiego w obłąkanie wprowadziła namiętność zwrócona do wspaniałych ruin zamku, które stały się dla niego uosobieniem, wcieleniem całej wielkiej przeszłości narodu i wymagały od niego, aby się uznał za króla nad nimi panującego. Ale, mimo tej różnicy, i sam Machnicki spostrzega podobieństwo jednego rodzaju miłości do drugiego. Pewnego razu musiał na jakiś czas odjechać w dalsze strony. „To oddalenie dopiero przekonało mnie, że byłem zakochany w zamku. Tęskniłem za nim, jak za kochanką. Co noc we śnie go widziałem, niekiedy z całym urokiem kobiecej piękności”.

To podobieństwo duchowe między Gustawem a Machnickim poprowadziło do przeniesienia niektórych szczegółów z postaci pierwszego na drugiego. W *Dziadach* dzieci u księdza, z początku przerażone pojawieniem się pustelnika, potem śmieją się z jego ubioru.

Czemu waspan tak jesteś dziwacznie ubrany?

.....  
Z różnych kawalków sukmany,  
Na skroniach trawa i liście  
.....  
Różne paciorki, wstążek okrajce  
Cha, cha, cha, cha!

W *Królu Zamczyska* Goszczyński powiada, że przy spotkaniu się z Machnickim w ruinach zamku uderzył go jego „strój osobliwy”. Wprawdzie suknie same „nie wydawały pomieszanego umysłu; za to szersze były dodatki do ubioru. Na głowie miał kapelusz, otoczony wieńcem z gałązek, róż dzikich, okrytych na pół rozwiniętym kwiatem, gałązka świerku sterczała zamiast kity, piersi całe okryte były to rozmaitymi kwiatkami polnymi, to liśćmi...” W scenie uroczystej posłuchania Machnicki „odziany był suknią zrobioną krojem hiszpańskim z latek rozmaitej barwy”; na głowie, jako następca Stańczyka, miał czapkę trefnisią, której u Gustawa nie widzimy, ale tę czapkę „otaczał na czole uwiedły wieniec z gałązek dzikiej róży”, co znowu jest w stylu Gustawa. Gustaw przechowuje listek cyprysowy, który otrzymał z rąk ukochanej przy pożegnaniu z nią, jako najdroższą pamiątkę, nosi go przy sobie na piersi i chce go pokazać księdzu. Machnicki nosi także na piersi, jako najdroższą pamiątkę, listek, który uważa za pismo, wzywające go do objęcia królestwa po dawnych królach. „Ten list — powiada Król Zamczyska — chowam dotychczas jako najdroższą pamiątkę nowego mojego życia. Jest to niejako dyplom mojej królewskości. Powinieneś go widzieć”. „To mówiąc (opowiada Goszczyński), odemknął wiszący na jego piersiach medalion, kazał się zbliżyć, i podał mi z uszanowaniem nic innego, tylko uwiedły czerwony listek, stoczony w połowie przez owady”.

Są inne jeszcze analogie, zbliżające do siebie tych dwu bohaterów obłąkanych. Gustaw, który „zna żywot Heloizy”, a także „ogień i lzy Wertera”, książkom, podobnym do tych, przypisuje wybujałość swojej namiętności:

Młodości mojej niebo i tortury!  
One zwichnęły osadę mych skrzydeł!  
I wyłamały do góry,  
Że już nie mogłem na dół skręcić lotu.  
Kochanek przez sen tylko widzianych mamideł,  
Nie cierpiąc rzeczy ziemskich nudnego obrotu,  
Gardzący istotami powszedniej natury,  
Szukałem, ach, szukałem tej boskiej kochanki,  
Której na podślonecznym nie bywało świecie.  
.....  
Lecz gdy w czasach tych zimnych nie ma ideału,  
Przez terazniejszość w złote odleciałem wieki,  
Bujałem po zmyślonym od poetów niebie...

Gdy zaś nareszcie znalazł na ziemi tę wymarzoną kochankę, jej obraz tak się wyrył w jego sercu i wyobraźni, że ją wszędzie, i tylko ją, widział.

Jeden tylko obrazek na zawsze wryty,  
Czy rzucam się na piasek i patrzę w głąb ziemną,  
Błyszczą jak księżyc w wodzie odbity:  
Nie mogę dostać, lecz błyszczą przede mną;  
Czyli wzrokiem od ziemi strzelę na błękity,  
Za moim wzrokiem dokoła  
Płynie i postać anioła,  
Aż na górne nieba szczyty.  
Potem jak orlik na żaglach pierza  
Stanie w chmurze i z wysoka,  
Nim sam upadnie na zwierza,  
Już go zabił strzałą oka;  
Nie wzrusza się i z lekka w jednym miejscu chwieje,  
Jakby upłątany w sidło,  
Albo do nieba przybity za skrzydło.  
Tak właśnie ona nade mną jaśnieje.

Te dwa motywy: wpływ lektury i opanowanie wyobraźni przez jeden obraz, rzucone oddzielnie w czwartej części *Dziadów* (w. 156–170, a potem w. 596–611), odbiły się, złączone z sobą, w jednym ustępie *Króla Zamczyska*, i to w taki sposób, że drugi motyw poprzedza pierwszy. Na początku swojej spowiedzi przed autorem powieści (w rozdziale *Historia Machnickiego*) Machnicki powiada, jak to już zaznaczyłem wyżej jego własnymi słowami, że oddalenie się w pewnej sprawie z okolic zamczyska przekonało go, iż był w tym zamku zakochany. Pociągany tęsknotą i niepokojony smutnymi przeczuciami, wrócił, „urwawszy liche interesy”, dla których się oddalił, a które nie miały żadnego związku z jego najszybszymi marzeniami. Wróciwszy, znalazł zamek w jeszcze większym upadku, co go napełniło smutkiem. „Ale też odtąd jeszcze mocniej zacząłem przywiązywać się do mojego zamku; zacząłem wchodzić z nim w znajomość jeszcze bliższą. Dusza coraz wyraźniej ku niemu lgnęła; przeznaczenie ciągnęło mnie ku niemu coraz częściej. Po całych dniach przypatrywałem się jemu, całe nieraz noce w nim przepędzałem... A kiedy nie mogłem być w nim, albo nań patrzeć, *to miałem obraz jego w głowie, jak wyciśniony na mózgu*. Z porządku rzeczy reszta świata poczęła mnie coraz bardziej nudzić. Nie znajdowałem już rozrywki, tylko w książkach, a między książkami jedynie w starych kronikach. *Czytanie kronik robiło na mnie skutek, jaki robi na zakochanym czytanie romansów*. Każdy szczegół dziejów, każda chwała, każda klęska, zmierzały do mojego zamku, jak promienie do jednego ogniska”.

Obok reminiscencji z czwartej części *Dziadów* słyszymy w *Królu Zamczyska* także i echo *Pieśni Wajdeloty* z *Konrada Wallenroda*. Wajdelota wielbi potęgę pieśni ludowej, zdolnej wskrzeszać w wyobraźni słuchacza w gruzy zapadłą przeszłość:

Jako w dzień sądny z grobowca wywoła  
Umarłą przeszłość trąba archaniola,  
Tak na dźwięk pieśni kości spod mej stopy  
W olbrzymie kształty zbiegły się i zrosły.  
Z gruzów powstają kolumny i stropy,  
Jeziora puste brzmią licznymi wiosły,  
I widać zamków otwarte podwoje,  
Korony książąt, wojowników zbroje,  
Śpiewają wieszcz, tańczy dziewic grono...

Podobną grę wyobraźni znajdujemy w powieści Goszczyńskiego. Dla Machnickiego ta zdolność marzenia na jawie, kiedy jest wśród gruzów swego zamczyska, jest stanem ciągłym; samemu autorowi powieści udziela się ona, pod wpływem wizji poetyckich jego bohatera, chwilowo. I tu reminiscencja *Pieśni Wajdeloty* jest widoczną. „Kupa gruzu



— powiada Goszczyński — przemieniła się dla mnie w zamek, jaki był przed wiekami; ściany się podniosły w rozgrody pokojów starożytnych, wysokie, chmury opadły jak sklepienia, wyciągnęła się długie korytarze, wyrosły z ziemi kolumny, a na nich rozwinęły się krużganki, okna pojrzały różnobarwnymi szybami, cały gmach odetchnął przeszłym życiem, w każdej części zmartwychwstały ślady mieszkańców... Nie spotykamy wprawdzie nikogo, wszędzie pusto i głucho, ale ta pustka, ta cisza, są chwilowe: pan zamku wyjechał gdzieś z całym dworem, ale wróci”. I tu poeta podkreśla swoje pokrewieństwo duchowe z bohaterem powieści: „W możność takiego złudzenia nie wszyscy uwierzą; są, którzy je pojmą: krótko trwa ono, ale się przytrafia obłąkanym i poetom”.

Nawiasowo wreszcie należy tu zaznaczyć, że wpływ poezji Mickiewiczowskiej objawił się i w dwu innych powieściach Goszczyńskiego, utworzonych już po *Królu Zamczyska*, mianowicie w *Annie z Nabrzeża*, napisanej w r. 1840, i w *Strasznym Strzelcu*, o rok późniejszym od niej. *Anna z Nabrzeża* była owocem niefortunnego pomysłu autora, aby cudowną balladę Mickiewicza, *Ucieczkę*, polską *Lenorę*, jeden z najpiękniejszych klejnotów naszej poezji romantycznej, przenieść na tło historyczne wieku XVII, obrać jej temat z wszelkiej cudowności i utworzyć z tego poemat o szerokim zakresie epickim i niejasnym sensie moralnym. W *Strasznym Strzelcu* stało się odwrotnie: tam obłana pełnym słońcem Soplicowskim gra Jankiela z *Pana Tadeusza*, opowiadająca za pomocą stosownie dobranych melodii i akordów wstrząsające przeżycia narodu w przełomowej chwili jego dziejów, między Konstytucją 3-go maja a wkroczeniem armii napoleońskiej na Litwę, przeniesiona została, w rozszerzonym pomysle, na tło przyrody tatrzańskiej i góralskich wierzeń mistycznych i połączona z myślą propagandy narodowej wśród ludu. W myśl tej propagandy skrzypiek, nazwany Stachem, w którego autor włożył niewątpliwie swoje własne intencje i swoją miłość dla ludu, chce za pomocą muzyki wtajemniczyć górali w całą przeszłość narodu, sam zaś tytułowy bohater powieści, wzięwszy z rąk Stacha skrzypce, czarodziejską swoją muzyką uzupełnia grę jego i w pewnej przerwie koncertowej tak objaśnia góralom różnicę między treścią muzyki swego poprzednika a swoją:

Sluchacie grania, ale czy rozumiecie? Czy wy się domyślacie, że w graniu Stacha patrzaliście na matkę waszych pradziadów, na waszą własną matkę, na matkę Polskę, na jej życie przez tysiąc lat? A to granie tak wam o niej gadało: Była ona wielka, szczęśliwa, sławna; prowadziła wojny w imieniu Boga prawdziwego i dla szczęścia bliźnich. Przyszedł szatan dumy i rozpusty, rozdzielił naród na panów i chłopów, oddał w ręce panów życie narodu i szczęście chłopów, natchnął jednych nienawiścią dla drugich, odebrał rozum jednemu i drugiemu, wzbudził potem nieprzyjaciół obcych i wszystkich oddał im w kajdany. Polska pogrzebiona. To wam Stach skrzypcami powiedział. Nie powiedział wszystkiego. Polska w grobie, ale żyje. Zagrzebano ją żywcem. Głosu jej nie słyhać na ziemi, ale pod ziemią. Słyszeliście go na własne uszy w moim graniu. Teraz patrzajcie, jak zmartwychwstanie.

To objaśnienie czarodziejskiego strzelca dobrze się godzi z duchem *Memoriału* Goszczyńskiego dla Centralizacji Demokratycznej i z duchem powieści *Król Zamczyska* i jest jakby komentarzem do nich. Co się tyczy transpozycji motywu Mickiewicza, tj. muzyki opowiadającej dzieje, z jednego tła na drugie, to transpozycja ta, pomimo iż autor przyplątał tu jeszcze inny, niezwiązany z nią motyw, odbyła się daleko szczęśliwiej, niż w *Annie z Nabrzeża*. Mistyczna postać strzelca jest tu na swoim miejscu, a realistycznie traktowane rozmowy górali o nim są wdzięcznym tłem dla fantastycznej postaci czarodzieja-grajka.

#### IV. STRONA ARTYSTYCZNA „*Króla zamczyska*”

Już z tego, co się wyżej mówiło o genezie tej powieści, można wywnioskować, że ma ona w ogóle charakter symboliczny, a po części nawet alegoryczny. Ten ostatni występuje wyraźnie w końcowych opowiadaniach Machnickiego o losach zamku, odpowiadających kategorycznie wielkim katastrofom narodowym. Alegoryczność jest, jak wiadomo, wielkim niebezpieczeństwem dla poezji, jeżeli, będąc sama dla siebie celem, wszechwładnie zapanuje nad twórczością poety. Małą, ale dosadną próbkę jej martwoty w takim razie

dał Krasicki w swojej *Historii kamienicy w Kukurowcach*, gdzie cała historia Polski aż do wstąpienia na tron Stanisława Augusta wyobrażona jest alegorycznie w losach pewnej małomiasteczkowej kamienicy, wyobrażona z suchością protokolarnego sprawozdania. Alegoryczności, którą wprowadził Goszczyński do *Króla Zamczyska*, nie groziło takie niebezpieczeństwo, bo ją autor owiał głębokim przejęciem się tragicznymi losami narodu, których był wykładnikiem, a przede wszystkim podawał ją nie bezpośrednio od siebie, ale jako wytwór przeczuciowego nastroju swego obłąkanego bohatera, tak, że stanowi ona część jego charakterystyki, samej powieści nie obarczając. Co się zaś tyczy symboliczności postaci Machnickiego, która, jak już wyżej wspomniano, była wyrazem wieloletnich wyteżeń patriotycznego ducha Polaków ku odzyskaniu ojczyzny, to niebezpieczeństwo, które z tej strony grozić mogło artystycznemu wykonaniu pomysłu, usuwał właściwy Goszczyńskiemu instynkt realistyczny w sferze twórczości poetyckiej. Goszczyński kreślił postać swego bohatera podług żywnego modelu, więc choć go naturalnie idealizował, nie tracił jednak poczucia z rzeczywistością i przez to czynił go zajmującym i wyciskał na nim piętno prawdy artystycznej.

Jak w *Zamku Kaniowskim*, tak i tutaj talent Goszczyńskiego uwydatnił się przede wszystkim w budowie całości, choć całość tutaj pod względem składowych elementów była bardzo różna od tamtej. Tam chodziło, jak to już wskazywał Mochnacki, o ruch mas roznamietnionych, tutaj akcja jest czysto wewnętrzną, odbywa się w duszy jednego człowieka, opanowanego jedną namietnością, która doprowadza go do obłąkania. Ale jak tam, tak i tutaj, wrażenie, które całość wywiera na czytelnika, jest potężne, a bardziej niż w młodzieńczym utworze harmonijne, bo wolne jest od tych zgrzytów, w które *Zamek Kaniowski* w swojej końcowej części obfituje.

Powieść składa się z ośmiu, bardzo nierównych rozmiarami, rozdziałów, z których każdy jednak ma należyte uzasadnienie swojej odrębności. Pierwszy (*Machnicki wariat*) ma za treść wrażenie, jakie wywarł na pocie zamek odrzykoński z pewnego oddalenia, przed jego poznaniem, i związana z tym charakterystyka króla odrzykońskiego, podana ustami gościnnej gospodyni domu, w którym chwilowo bawił Goszczyński, charakterystyka, która jest wyrazem ogólnej opinii sąsiedztwa o wariacie Machnickim. Rozdział drugi (*Imieniny*), do którego pierwszy jest wyborem przygotowaniem, wprowadza na scenę powieści bohatera wraz z owym sąsiedztwem, które już z góry ma nadzieję zabawić się kosztem jego. Autor ma tu sposobność przedstawić wzajemny stosunek do siebie wariata i otoczenia jego i zarysować swoje stanowisko wobec sympatycznej dla siebie postaci Króla Zamczyska. W rozdziale trzecim (*Zamczysko odrzykońskie*) Machnicki wprowadza Goszczyńskiego po gruzach zamku, tłumacząc mu tajemne ich znaczenie, przy czym poeta coraz bardziej zyskuje zaufanie obłąkanego. W rozdziale czwartym (*Podziemie*) zaufanie to dochodzi do tego stopnia, że wariat Machnicki wprowadza gościa do swego tajemnego, nikomu nieznanego, podziemnego mieszkania i pozwala mu najdokładniej się z nim obeznac. Następny rozdział (*Historia Machnickiego*) stanowi kulminacyjny punkt powieści. Machnicki daje tu uroczyste królewskie posłuchanie pocie, opowiada mu dzieje swojego ducha. Patos gorącego serca przy obłąkanej wyobraźni króla zamczyska dosięga tu najwyższego szczytu, wizje jego obłąkanej wyobraźni rozkwitają najwspanialszym blaskiem. Rozdział szósty (*Dalszy ciąg historii Machnickiego*) wyodrębniony jest od poprzedniego, ponieważ ma szczególne zadanie: wskazać, jak po upadku powstania listopadowego jedyna nadzieja przyszłości Polski spoczywa na ludzie. Dwa ostatnie krótkie rozdziały (*Pożegnanie i Zakończenie*) mają już podrzędne znaczenie, służą do zaokrąglenia całości.

Proza Goszczyńskiego w tej powieści, pomimo iż symboliczno-alegoryczny element gra w niej znaczną rolę, nie ma nic w sobie koturnowości, która tak często nas razi w prozie poetyckiej Krasickiego. Technie ona tutaj jędrnością, prostotą, szczerością, i tymi zaletami podbija czytelnika. W jej zwierciadle postać bohatera odbija się doskonale w podwójnym swoim charakterze: człowieka do głębi przejętego nieszczęściami swego narodu i gotowego poświęcić wszystkie siły swoje dla sprawy jego wyzwolenia, i obłąkańca, opanowanego monomanią królewskości, która go obarcza ciężarem fikcyjnych obowiązków. Ten ostatni charakter zaznacza zwykle Goszczyński w krótkich słowach, ale tym silniejsze wrażenie sprawiają te słowa. Jako przykład przytaczam to, co mówi Machnicki Goszczyńskiemu na początku rozdziału *Pożegnanie*. Przed chwilą ukazał się był puchacz w oknie podziemia, zwrócił na siebie całą uwagę Machnickiego i przerwał

jego pełną głębokich uwag rozmowę z poetą. Machnicki porwał się ze swego siedzenia, ukrył się za zasłonę i tam dłuższy czas przebywał, a kiedy wreszcie wyszedł stamtąd, w taki sposób przemówił do poety: „Daruj, daruj... że tak nagle przerwałem posłuchanie. Sprawy państwa przede wszystkim, nieprawdaż? Oznajmiono mi ważną naradę, dziś jeszcze, wkrótce. Wszak słyszałeś tego ptaka? Nie bierz więc mi za złe, że się musimy rozstać. Sprawy publiczne przede wszystkim”.

Przy swojej zwięzłości styl Goszczyńskiego w *Królu Zamczyska* odznacza się nieraz wielką malowniczością. Szczytem mistrzostwa pod tym względem jest ustęp, w którym Machnicki opowiada poecie, jak się odbył ostateczny przełom w jego istocie duchowej, to jest, w jaki sposób stał się wariatem. Była chwila, kiedy chciał się oprzeć tajemnemu pociągowi swemu do zamczyska i odgrodzić się od niego, z najwyższym wysiłkiem woli, za pomocą wyczerpanej pracy biurowej.

Interes urzędowy był pilny, praca trudna i długa. Przejąłem się całą ważnością mojego urzędu. Trzy dni i trzy noce pracowałem, z małymi przerwami dla jedzenia i snu. Przez cały ten czas liczbami tylko myślałem, tak, że w końcu wszystkie myśli zamieniły się w liczby; liczby układały mnie do snu i budziły, na jawie jak we śnie liczby latały przed oczyma, w którąkolwiek stronę oczy obróciłem. Nic nie słyszałem, nic nie widziałem dokoła siebie, oprócz przedmiotu mojego zatrudnienia. Aż w końcu... pamiętam całą scenę, jakby się powtarzała w tej chwili; odtąd wszystko już dobrze pamiętam. Było to trzeciej nocy, bardzo późno, może w godzinę po północy. W okna bił deszcz ze śniegiem i wiatr przeraźliwie zawodził. Zresztą wewnątrz domu cicho, jak żęby<sup>137</sup> wszystko umarło. Czulem wycieńczenie z pracy; zdawało się, że siły ostatnie mnie opuszczają. Nie przestawałem jednak pisać, ale głoski i liczby wiły się po papierze, zrywały się spod pióra, krążyły w oczach jak rój owadów; wiersze całe snuły się w różnych kierunkach, jak te wstążki ognia, kiedy dziecię rozżarzoną lucywie w różne strony macha. Straciłem z oczu świecę, zgadywałem tylko jej pałanie po nagłych, przykrych zmianach, to rażącego blasku w ciemność, to ciemności w blask. Naraz całe pisanie zerwało się z papieru, uderzyło na mnie z szumem i wściekłością pszczoł rozdrażnionych, obsypało mnie całego, wgrzyzało się w oczy, dzwoniło w uszach, osiadało na mózgu. Chciałem się porwać, upadłem nazad na krzesło bez siły; w tej chwili zupełna ciemność zaległa pokój; powieki spadły na oczy same z siebie, jak skrzydła postrzelonego na śmierć ptaka. [Machnicki uczuł dziwną błogość w duszy.] Wtedy zgasł i umarł we mnie dawny człowiek, a narodził się nowy.

Ten obraz walki resztek trzeźwego poglądu Machnickiego na życie z rosnącą namiętnością dla gruzów zamczyska i rosnącą wiarą w królewskie powołanie, walki zakończonej zupełnym zwycięstwem obłąkania nad poczuciem rzeczywistości, tchnie taką siłą i prawdą, że chce się wierzyć, iż nie wypłynął on z czystej fikcji poety, ale zaczerpnięty został z autentycznych wynurzeń bohatera powieści. Ale gdyby tak nie było, gdyby ten obraz był niepodzielnym tworem wyobraźni samego poety, tym więcej musielibyśmy podziwiać intuicję jego w przedstawieniu patologicznego stanu duszy jego bohatera w chwili przełomowej.

## V. GOSZCZYŃSKI I MATEJKO

*Król Zamczyska* pojawił się na horyzoncie literatury polskiej emigracyjnej (1842) w niedobrą dla siebie porę; w rok po wystąpieniu publicznym w Paryżu mistrza Towiańskiego, które prawie całą uwagę emigracji ku sobie pociągnęło. Toteż pojawienie się tego utworu przeszło bez wrażenia, jego wartość artystyczna i ideowa nie była doceniona ani wtedy, ani potem, można powiedzieć, aż do obecnej chwili. Najbardziej dziwić może, że Mickiewicz, który przecież znać musiał ten utwór, nie zrobił o nim żadnej wzmianki w swoich

<sup>137</sup> jak żęby — jak gdyby.

prelekcjach paryskich, choć cytował *Zamek Kaniowski* i bardzo słabe pod względem artystycznym *Przeznaczenie Geniusza* i choć był jednym z najściślej związanych przyjaciół z Goszczyńskim.

Jak w krytyce, tak było i w literaturze polskiej. Nie dostrzegamy w żadnym jej utworze śladów jakiegoś wpływu, jakiegoś echa *Króla Zamczyska*. Ale to, czego nie daje literatura, znaleźć można — tak się domyślam — w malarstwie polskim, mianowicie w obrazach Matejki. Główną podstawą domysłu, że *Król Zamczyska* swoją treścią i swoimi obrazami wywarł wielkie wrażenie na młodym Matejce i zostawił ślady wpływu na kierunku ideowym jego historycznego malarstwa, jest ta szczególna rola, jaką Matejko wyznaczył w swojej produkcji malarskiej postaci Stańczyka. Już w r. 1853 zwraca się do niej myśl piętnastoletniego Matejki; w r. 1862 maluje on obraz, przedstawiający Stańczyka w stroju błazeńskim, który zboląły, stroskany, siedzi samotny w pokoju, przytykającym do wielkiej otwartej sali, gdzie dwór królowej Bony oddaje się wesołej zabawie tanecznej. Temu Stańczykowi daje on własną twarz, a więc zespała się z nim w uczuciach. We dwadzieścia lat potem (1882) wprowadza znowu Stańczyka na tło jednego ze swoich obrazów (*Hold pruski*), i dając mu wyraz twarzy odmienny od poprzedniego, twarz jednak, jak w poprzednim obrazie, znowu daje mu swoją. W pierwszym z tych dwu obrazów twarz ta wyraża boleść z powodu utraty Smoleńska i tworzy kontrast z lekkomyślną wesołością dworu królowej Bony. W drugim obrazie, który przedstawia scenę pozornie pełną chwały dla narodu, w twarzy i postawie Stańczyka nie ma tego przygnębienia, co w pierwszym — przeciwnie, jest wielkie ożywienie, ale nie jest to żywość radości, tylko żywość myśli, przenikającej złudę pozorów i równie jak przedtem, tylko w inny sposób, niespokojnej o przyszłość narodu.

Ten związek między duszą malarza a postacią Stańczyka, który Matejko zaakcentował tak silnie, zwrócił był już uwagę Stanisława Tarnowskiego, który twórczości Matejki poświęcił obszerne, z wielkim pietyzmem napisane dzieło. Tarnowski zadał sobie pytanie, dlaczego Matejko włożył w Stańczyka swoje troski patriotyczne, dlaczego dał mu całą swoją duszę.

Co za związek — pytał — co za pokrewieństwo między nim a „Zygmuntowym błaznem”. Temu tradycja przypisuje rozum zdrowy i cięty dowcip, ale nie przechowała żadnych rysów głębszego smutku. A jednak Matejko, jak później (1882) widział go ze swoją postacią, tak teraz (1862) w jego postać włożył swoje troski. Dlaczego? Próżno dochodzić, nie dojdzie się. Na domysł ledwo można by rzucić pytanie, czy Matejko, tak głęboki w uczuciach, a w tych czasach właśnie tak zniechęcony, zboląły, czy pośród lekkiej, bezmyślnej rzeszy nie wydawał się sam sobie istotą stworzoną z ironii losu, „Bożym igrzyskiem”, jak w rozpacz nazywa się raz Kochanowski, błaznem, że tak cierpi strasznie a na próżno, i błaznem w mniemaniu powszednich ludzi dlatego, że tak cierpi, a oni nie? Może jego myśl była taka, może nie, co pewna, to to, że *nikt nigdy tak nie pomyślał, nie wyobraził sobie błazna*.<sup>138</sup>

To ostatnie zdanie, przeze mnie podkreślone, zadziwia pod piórem takiego znawcy literatury polskiej, jakim był Tarnowski. Rzecz dziwna, że stawiając te słowa, nie przypomniał sobie Goszczyńskiego, jego *Króla Zamczyska* i występującego tam Stańczyka. Wprawdzie rola tego ostatniego w powieści nie jest dość jasna i wymaga bliższego oświetlenia, ale jest to przecież ten sam, z tradycji wzięty „Zygmuntowy błazen”, tylko wcale nie z usposobieniem, jakie mu tradycja nadała, ale pokrewnym temu, jakie mu nadał Matejko.

Jaką rolę odgrywa Stańczyk w powieści Goszczyńskiego? Jaki jest jego stosunek do głównego bohatera, do *Króla Zamczyska*? Stańczyk jest pośrednikiem pomiędzy wielką przeszłością a obłąkanym Machnickim, który o niej roi, który ją widzi i czuje zaklętą w gruzach odrzykońskich i który ją wskrzesić pragnie. Stańczyk wzywa Machnickiego na posłuchanie królewskie, które jest zarazem obrzędem koronacyjnym dla nowego króla, Stańczyk z polecenia Bolesława Chrobrego wprowadza go na królestwo i ma potem być na jego rozkazy, albo raczej być jego patronem i doradcą, Stańczyk wreszcie, gdy zawaliły się

<sup>138</sup> *Co za związek (...) nie wyobraził sobie błazna.* — St. Tarnowski: *Jan Matejko*, Kraków 1897, str. 63–64.

do reszty — po powstaniu listopadowym — górne pokoje zamczyska, wprowadza go do podziemnego mieszkania i daje mu naukę o znaczeniu tego podziemia. Jest więc Stańczyk kierowniczym duchem króla zamczyska; ich postaci są tak bliskie sobie, tak jedną myślą złączone, że prawie zlewają się w jedną. Zewnętrznym wyrazem tej ich łączności jest strój króla zamczyska, podobny do stroju królewskiego trefnisia. Różnica między nimi polega na tym, że Machnickiego przedstawił autor jako obłąkanego, Stańczyka jako jedną z jego wizji. Jest on uzupełnieniem króla zamczyska: tamten jest przede wszystkim wyrazem głębokiej czci dla sławnej przeszłości Polski i gorącej żądzy przywrócenia jej dawnej sławy, Stańczyk jest przedstawicielem nowych myśli, nowych dróg, które prowadzą do tego celu, i wyraża dążenia i troski patriotyczne samego autora.

Domyślam się tedy, że na postać Stańczyka skierował uwagę Matejki swoją powieścią Goszczyński i że go pobudził do obrania tej postaci za naczynie swoich własnych trosk patriotycznych. A nie mniej silnie musiała przemówić do wyobraźni i serca malarza i postać samego króla zamczyska, w której młody Matejko tyle własnych uczuć mógł znaleźć. Bo czyż nie był twórcą *Skargi* i nieskończonego później szeregu obrazów z dziejów Polski, także, w swoim rodzaju *Królem Zamczyska*, i to takiego, które miało daleko większe prawo stać się symbolem przebrzmiałej sławy narodu, aniżeli odrzykońskie, to jest Wawelu? Czy jego wyobraźnia i jego serce patriotyczne, zrośnięte od dzieciństwa z pamiątkami Krakowa, nie ożywiało, nie wskrzeszało z martwoty nagromadzonych tu kamieni, jak to czynił Machnicki w *Odrzykoniu*? I czy nie miał prawa czuć się wskutek tego prawdziwym królem tego, zaklętego w kamień, świata przeszłości? Dodajmy, że ci, którzy mieli sposobność stykać się z Matejką i obserwować go z bliska, dostrzegali w nim utajone, ale nieraz mimo woli przebijające się na wierzch, głębokie poczucie własnej wielkości, poczucie wielkiej roli, którą ma do spełnienia, poczucie pokrewne temu, które doprowadziło Machnickiego do obłąkania.

Na jedno jeszcze pokrewieństwo duchowe, które zachodzi między Goszczyńskim a twórczością malarską Matejki, warto zwrócić uwagę. Już w *Zamku Kaniowskim* poeta daje do zrozumienia, że stawiając przed oczy ziomków sceny okropnych mordów w przeszłości, chce ich pobudzić do zastanowienia się nad ich przyczynami, ma na oku przyszłość, chce działać wychowawczo na naród. „Syny mej ziemi, o rodacy mili! — Wy szczerzej wiary nie dacie poecie — I sami pojrzyć na przyszłość nie chcecie”... tak woła w drugiej części tego poematu (w. 524 i dalsze). W *Królu Zamczyska* ta troska o przyszłość narodu, ta dążność wychowawcza, występuje daleko szerzej i wyraźniej, choć nie posługuje się tak jaskrawymi i przerażającymi obrazami, jak w tamtym poemacie. Można powiedzieć, że jest ona duszą tej powieści. Otóż w całym szeregu najwybitniejszych obrazów Matejki ta troska o przyszłość narodu staje na pierwszym ich planie i rzuca swój cień na całość malowidła. Uderza to przede wszystkim we wcześniejszych jego obrazach historycznych, jak *Stańczyk na dworze królowej Bony*, o którego znaczeniu już wyżej była mowa, jak *Kazanie sejmowe Piotra Skargi*, w którego postać tchnął Matejko cały ogień swej troski o przyszłość narodu, jak wreszcie *Rejtan*, który był może najsilniejszym jej wyrazem, a takie szemranie wywołał wśród płytkich patriotów.

Ale może ta troska o przyszłość narodu, ta dążność wychowawcza obrazów historycznych Matejki była tylko równoległa z dążnością Goszczyńskiego, ale w żadnym z nią związku genetycznym nie zostawała? Może młody Matejko nie czytał wcale *Króla Zamczyska*? Otóż jeżeli chodzi o niezbity dowód, że Matejko znał powieść Goszczyńskiego i że go interesowała postać jej bohatera, to są nim dwa rysunki jego, przedstawiające ruiny zamku odrzykońskiego, a umieszczone w *Tygodniku Ilustrowanym* z r. 1866 (Nr. 362) z podpisem: „rysował z natury Jan Matejko”. Na jednym z tych rysunków, u stóp malowniczo piętrzącej się wieży, widzimy postać z bujnym, rozwianym włosiem, z wyrazem obłąkania czy natchnienia w twarzy, postać, która, jako jedyna w całym rysunku, musi niewątpliwie przedstawiać Króla Zamczyska, jak on się wyobraził znakomitemu malarzowi po odczytaniu powieści Goszczyńskiego. Ta postać z twarzą pełną ognistego wyrazu jest zupełnym przeciwieństwem do portretu Machnickiego, który nam przekazał Prosper Konopka. W tym ostatnim widzimy Króla Zamczyska zwróconego twarzą do tych zwyczajnych ludzi ze swego otoczenia, którzy poza interes prywatny, rodzinny, nie wybiegali myślą, a jego, ponieważ utopił swój rozum w trosce o naród, uważali tylko za śmiesznego wariata; jest też w tej twarzy wyraz szyderstwa i wzgardy. W rysunku Matejki

postać ta, widziana przez pryzmat wyobraźni i uczucia poety, odsłania nam to, czego nie ma w akwareli Konopki: głębię uczucia patriotycznego w obłąkanym królu.

#### BIBLIOGRAFIA

Już przy wydaniu *Zamku Kaniowskiego* w „Bibliotece Narodowej” (Nr. 44) podałem wiadomości bibliograficzne, dotyczące nie tylko tego utworu, ale i w ogóle twórczości Goszczyńskiego. Tutaj wypada mi niektóre z nich w skróceniu powtórzyć i uzupełnić takimi, które specjalnie dotyczą *Króla Zamczyska*. Otóż powtarzam, że osobnej monografii, poświęconej Goszczyńskiemu i jego poezji, literatura nasza nie posiada i że tym, który najwięcej pracował około zgromadzenia materiałów do takiej monografii, jest Zygmunt Wasilewski, wydawca najpełniejszego zbioru pism Goszczyńskiego w czterech tomach pt. *Dzieła zbiorowe Seweryna Goszczyńskiego* (Nakład Altenberga, Lwów 1910). W czwartym tomie tego wydania podana jest szczegółowa i chronologicznie ułożona bibliografia wszystkich pism Goszczyńskiego i bibliografia źródeł biograficznych, doprowadzona do roku 1910. Poza tym trzeba uwzględnić prace obecnego wydawcy *Króla Zamczyska* o Zaleskim i Słowackim, gdzie są obszernie ustępy poświęcone Goszczyńskiemu, a mianowicie: *Bobdan Zaleski do upadku powstania listopadowego*, Kraków 1911 (rozdział II, III, VI, VIII, X i XII), *Bobdan Zaleski na tułactwie*, Kraków 1913–1914 (Cz. I, rozdz. II, i Cz. II, rozdz. I, III, IV i IX) i *Juliusz Słowacki, historia ducha poety i jej odbicie w poezji*, Kraków 1904 (rozdz. XIII, XIV i XXIII).

Co się tyczy *Króla Zamczyska*, to z sądów wypowiedzianych o tym utworze dwa się uwydatniają, jako odbiegające od powszechnej opinii o nim. Jednym z nich jest sąd prof. Tarnowskiego w jego *Historii literatury polskiej* (Kraków 1900, T. V, str. 213–216), drugim jest to, co powiedział prof. Zdziechowski w swoim dziele *Byron i jego wiek* (II 519). Prof. Tarnowski twierdzi, że *Król Zamczyska* nie jest „tak pięknym, jako poezja, tak głębokim, jako alegoria, jak o nim mówią”. Podawszy szczegółowo wyjaśnienie symbolicznej i alegorycznej strony powieści, autor dochodzi do wniosku, że „jest to nie tylko manifest rewolucyjny, ale i program republikański”. Jakkolwiek określenie to właściwie odpowiada treści jednego tylko z końcowych rozdziałów (*Dalszy ciąg historii Machnickiego*), a pomija to, czym jest nabrzmiała cała powieść: cześć dla wielkiej przeszłości narodu — to jeszcze, z tym zastrzeżeniem, zgodzić się na nie można. Ale kiedy krytykując artystyczną stronę powieści, tenże autor o jej bohaterze powiada, że „fanatyczny miłośnik zamku jest we wszystkim, co mówi, zimny, czczy i prozaiczny, jak jaki publicysta ówczesnego *Towarzystwa Demokratycznego*, silący się na zapal”, to na to zgodzić się trudno, i myślę, że sam autor byłby się wstrzymał od tej krytyki, gdyby przed jej napisaniem poznał współczesny *Królowi Zamczyska Memorial* Goszczyńskiego o Galicji, zarysowujący bardzo wyraźnie różnicę poglądów między Goszczyńskim a *Centralizacją Towarzystwa Demokratycznego* na znaczenie narodowości polskiej dla przyszłości narodu polskiego.

Prof. Zdziechowski we wskazanym dziele wystąpił z oryginalnym, ale nie dość uzasadnionym poglądem na znaczenie *Króla Zamczyska*. Podług niego utwór ten ma być krytyką mesjanizmu polskiego, ponieważ Goszczyński przedstawił Machnickiego jako wariata, przeciwstawiając go realnie patrzącemu na świat otoczeniu. „Zrozumiał on (Goszczyński), że ideał Machnickiego zostawał w żywej sprzeczności ze światem rzeczywistym, że ludzkość, skąpana w »morowym powietrzu zimnego rozumu« nie była zdolna rządzić się samą miłością i że przeto wobec tej smutnej prawdy traciła rację bytu owa namiętna miłość ojczyzny, nie licząca się z teraźniejszością, zapatrzona w przeszłość, krzesząca z niej myśl dziejów narodowych, usiłująca świat cały do myśli tej nawrócić... jednym słowem miłość, która znajdowała swój wyraz w mesjanicznym ideale wieszczów naszych”. Otóż pomijając już to, że właściwie mesjanicznego pierwiastku w *Królu Zamczyska*, poza jedyną końcową aluzją do *Książki narodu polskiego*, nie ma wcale, zgodzić się na przypuszczenie prof. Zdziechowskiego, że autor tej powieści chciał poddać krytyce ideały Machnickiego, nie można z tego prostego powodu, że Goszczyński nie zostawił żadnej wątpliwości co do swojej intencji w tym względzie. Przedstawił on wprawdzie Machnickiego jako obłąkanego, ale jego obłąkaniu, albo raczej pobudkom, z którego ono wypłynęło, przyznał bezwzględnie wyższość nad usposobieniem jego trzeźwego otoczenia. Oto są jego słowa w *Zakończeniu* powieści, do tego otoczenia zwrócone, z którymi trudno się spierać: „O!

gdybyście wy wszyscy takiego pomieszenia dostali, ludzkość byłaby mędrsza, szczęśliwsza, niż jest dzisiaj”.

Wydanie obecne *Króla Zamczyska* opiera się na pierwodruku (Poznań 1842) i na tekście w edycji lipskiej *Dzieł Seweryna Goszczyńskiego* z r. 1870, jako przejrzanym i poprawionym przez autora. W przypiskach wskazano nieliczne, ale czasem ważne różnice, zachodzące między tekstami.

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/krol-zamczyska>

Tekst opracowany na podstawie: Seweryn Goszczyński, *Król Zamczyska*, wyd. Krakowska Spółka Wydawnicza, Kraków [dr. 1922]

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Elbląską z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BE.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Dorota Kowalska, Józef Tretjak, Katarzyna Janus, Marta Niedziałkowska, Michał Król.

Okładka na podstawie: [mariaaantonina@Flickr](mailto:mariaaantonina@Flickr), CC BY-SA 2.0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na [stronie wolnelektury.pl](http://wolnelektury.pl).

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).